

BIBLIOTEKA UTWORÓW DRAMATYCZNYCH

TOM
XI

ZYGMUNT KAWECKI

DRAMAT KALINY

TRZY AKTY
Z PROZY ŻYCIA



<http://rcin.org.pl>
NAKŁADEM KSIĘGARNI HALTENBERGA WELWOWIE

DRAMAT KALINY

Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie.

<http://rcin.org.pl>





Zygmunt Karwicki.

DRAMAT KALINY

Trzy akty z prozy życia

PRZEZ

ZYGMUNTA KAWECKIEGO



INSTYTUT
BADAŃ I ISRAELSKICH PAN
Biblioteka
ul. Lawski 11 i № 72
01-111 W. Warszawa
Tel. 26-53-63, 26-52-31 w. 42

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

1902.



OSOBY:

ALFRED KALINA, literat	Pp.	Kamiński
ALBINA, jego żona	»	Morska
HENIO, ich syn	»	* * *
WISIA, siostra Albiny	»	Rotter
PROFESOR TOMASZ, mąż Wisi	»	Popławski
ELŻBIETA, matka Wisi i Albiny	»	Wojnowska
NIUNEK LUBICZ	»	Nowacki
ANTONI KORYCKI	»	Solski
ZYGMUNT NIEDZIELSKI, dziennikarz	»	Kuncewicz
FAUSTYNT RYBULAK, aktor	»	Roman
DERETKIEWICZ	»	Węgrzyn
DERETKIEWICZOWA	»	Węgrzynowa
SŁUŻĄCA	»	Rybicka

Rzecz dzieje się współcześnie.

Przedstawiono po raz pierwszy we Lwowie, w teatrze miejskim 12 czerwca 1902, za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego.

Prawo wystawienia na scenie zastrzega sobie autor.

AKT PIERWSZY.

Pokój skromnie umeblowany. Na komodzie budzik, lusterko, szklanki, talerze, dzbanek z wodą, szczotka. Na stole lampa.

SCENA I.

ALBINA — KORYCKI.

ALBINA, *dorodna, dwudziestoletnia; włosy trochę w nieładzie; blondyna.*

Siada na kufrze, zakładając ręce na piersi i kiwając nogami — wstaje, idzie ku komodzie, patrzy na zegar, potrząsa głową — przykrywa dziecko, staje przed oknem, uderzając palcami w ramę — wyjmuje następnie z komody chleb i pieczeń — kraje — podnosi do ust, zatrzymuje się na wpół drogi, wrzuca naponrót do szuflady — chodzi nucąc pod nosem.

Pukanie.

ALBINA.

Kto tam?

KORYCKI

*wchodzi z wolna, stapa całą stopą; lat 37 — ubrany nie-
dbale, czarny żakiet, szerokie spodnie, zaminięte u dołu*

i strzępiaste — kołnierzyk brudny, manszety zlatują na ręce — twarz uśmiechnięta, smagła — nieogolony — nosi cwikier w czarnej oprawie — ma chwile bystrości i przenikliwości, poczem zwiesza głowę i uśmiecha się — obie ręce wtyka do kieszeń tak, że małe palce tkwią w nich, a cała dłoń zwiesza się na zewnątrz — charakterystyczne swoje zwroty intonuje nosowo — „lubię, lubię“ — krótko — staccato. Wchodzi w palcie z podniesonym kołnierzem. Łysy — wąsy zwisłe nad ustami.

Całuję rączki!

Całuje ją w rękę.

ALBINA.

Aa! Korycio! rozbieraj się pan, siadaj!

KORYCKI *rozbierając się.*

Fredzia, jak widzę, nie zastałem.

Kładzie palto na poręczu łóżka, tak że zlatuje na podłogę, schyla się, uderzając o łóżko — cwikier upada.

ALBINA *obserwując go.*

Hoho! znów wódeczka!...

KORYCKI

ułożył palto i nasadził cwikier.

Przypadkowo — ale wcale przyzwoicie. *Pauza.* Pani wie, spotkałem tego... *Mysli, uśmiecha się.* ...aha! spotkałem Brylkę... tego, co to...

ALBINA.

Spocznij pan sobie! *prowadzi go do sofy i sadza.*

KORYCKI.

Co to rozwiódł się obecnie z żoną. Gadaliśmy po-
ufnie.

ALBINA.

Alfreda nie ma; jak wyniósł się popołudniu, tak
dotychezas...

KORYCKI.

Nie ma?... a... tego... co porabia? pisze? *Przeciera szkła.*

ALBINA.

Mówił mi, że będzie pisał jakiś tam dramat. Ma
znajomości w teatrze. Chodzi za kulisy. Ciągnie go
tam, kusi, aż piecze.

KORYCKI.

O! bo kulisa dla młodego to wabik! Jeszcze Alfred!
fantasta! zapalny!... literat... znakomita zdolność akko-
modacyjna... to jest, proszę pani... przystosowanie się
do tła, do terenu... w naturze zwie się to mimicri...
On w teatrze, za kulisą... dostaje skrzydeł, buja! two-
rzy! bada zakulisowe charaktery... i... *Akcentuje.* cha-
rakterki...

ALBINA.

No! to też właśnie! artystki, chciał pan powiedzieć...
A on ma zwaryowaną głowę! Już trzeci raz urządza
sobie to późne wracanie... Czekam na tego narwańca
z kolacją, nie jadłam, głodzę się z irytacji...

KORYCKI.

To było łatwo przewidzieć, że człowiek tego po-
kroju, co Alfred... *Uśmiecha się.* ...ożeniwszy się z pa-
nią, nie miał zamiaru abdykować z wrażeń świata,
który go tak nęci... a przypomni pani sobie łatwo, jak
się wówczas wahał... Ale on może zaraz nadejść, co?

ALBINA.

Ee... nie.

KORYCKI.

Pamiętam bardzo dokładnie tę epokę Fredzia, ten przełom... pani pozwoli zapalić... *Idzie do palta, wyjmuje paczkę tytoniu; kręci papierosa i zapala — w ciągu tego mówi.* Mało Henio ujrzał światło dnia... no... i pan Fredzio stał się ojcem, przyszły obowiązki... tego... młodość i lekkomyślność stanęły wobec faktu poważnego. W perspektywie czekało kaducze słowo — »że-nić się«! Ooo! to była perypetya!... tego... *Jakby do siebie.* At! masz! obroża! wędzidło... Szał wytłął... homunculus wrzeszczał za legitymacją... *urywa — po chwili krótko, z odcieniem sarkazmu.* Lubię, lubię.

ALBINA.

Co pan mruczy?

KORYCKI *j. w.*

Psychiczny proces — motywa *śmieje się.* Ha! ha! ja wetknąłem palce między drzwi i przyciśnięto mi je... lubię, lubię... *Przeniklinwie.* Pamięta pani wzajemne awantury... matka pani nagliła... Alfred wisiał między niedecyzją a decyzją. Był jak człowiek, który wyzyskawszy... namyśla się przez słabość charakteru, czy być szlachetnym... A ja cóż?. Mówiłem w mojej sprawie z matką pani — nie była przeciwną... no i pani sama dawałaś mi wiele do zrozumienia.. Jako wdowiec nie wielce miłej powierzchowności, liczyłem na to, że...

ALBINA *przerywając.*

Aha... gdybym była wtenczas wyszła za pana, byłbyś pan parę miesięcy nie pił, ale za to potem...

KORYCKI *uśmiecha się.*

Jestem swoją drogą z lekka trunkowy.

Pauza. — Henio marudzi przez sen.

ALBINA, *wstaje, przypatruje się dziecku.*

KORYCKI, *idzie ku komodzie.*

Pani pozwoli, że napiję się. *Pije.*

ALBINA.

Pewni pali trochę...

KORYCKI, *wypinwszy, stawia garnuszek na komodzie
i przewraca szklanki.*

ALBINA *porywczo.*

Eh! zgrabny pan! zbudzi pan Henia!

KORYCKI.

Ah! przepraszam!

HENIO *budzi się półsennie.*

Tata!...

ALBINA.

Tata? Za kulisami! w teatrze!

KORYCKI *dodaje.*

Obserwuje!... tyndyryndy..

HENIO *zasypia.*

ALBINA *chodzi po pokoju.*

Ja mu dziś pokażę, co potrafię! ten... kiepski literat! Zamiast tu siedzieć w domu, pilnować żony i bachora, to się tam włóczy!

KORYCKI *siada na sofie.*

Prawda, że to Fredzia słabostka... te kinkiety i kobiety... lubię, lubię...

ALBINA, *staje koło okna, uderza o ramę.*

KORYCKI.

Brzydki on nie jest, powinien mieć szczęście... I przyznać muszę, że talent ma, wielki talent. Ale ludzie takich pojęć i takiego rozwichrzonego temperamentu nie powinni się nigdy żenić!

ALBINA

odwracając się od okna — szybko.

Idę ja tam! zaczekaj pan tutaj! Służąca przyjdzie za kwadrans... *Odziewa się chustką.*

KORYCKI.

Ależ pani Albino — co pani?...

ALBINA.

Nie pan nie gadaj! pilnuj pan małego. My tu zaraz wrócimy.

KORYCKI *wstaje.*

Nie uchodzi! nie uchodzi! Do tego... tak, w chustce! czy pani się zastanawia?

ALBINA

nieodpowiadając, zrzuca chustkę, wdziewa palto — poprawia włosy przy lustrze — wdziewa kapelusz.

KORYCKI.

Co za dramatyczny dzień dla mnie! Tu w powietrzu czuję grzmoty... Przed chwilą Bryłka, który się rozwiódł...

ALBINA.

Rozwiedli się... to najmądrzej!

KORYCKI

podchodzi ku niej, dobitnie.

Tak! *Po chwili.* Radzę pani raz jeszcze, nie iść!

ALBINA.

Iiii! siedz pan cicho! A... powiedz pan... bardzo... kochałeś żonę?

KORYCKI *bezbarwnie.*

Kochałem. *Pauza.*

ALBINA *Przypatruje mu się.*

KORYCKI.

Tyndyryndy... *Uśmiecha się.*

ALBINA

przypominając sobie — otwiera szufladę komody i wyjmuje papiery — rzuca je na sofę, koło kufra.

Będziesz sobie pisał na kominie! Jutro zniszczę w piecu!

KORYCKI.

Eee... to chyba nie... dzieło talentu nie winno pani nic.

ALBINA.

Ale on to kocha i ciągle w nich siedzi... wypisał się na nich... spalę te szpargały! Ha ha! To będzie przynajmniej zemsta! To, co napisał tam o swojej Lili, z którą miał »artystyczną«
znajomość, pójdzie na wióry! Ha! Ha!

KORYCKI.

Tego proszę nie robić... to byłaby bezużyteczna krzywda.

ALBINA.

Nie wtrącaj się pan! Ja mam prawo do tego, jako żona!...

KORYCKI *uśmiecha się.*

ALBINA.

Śmieję się pan! Wy wszyscy jednacy! Dowidzenia! *Wychodzi i od drzwi wraca się.* Aha! gdyby tu Niunek przyszedł — pan wie, że to męża krewny — przyłazi tu co wieczora — sympatya Alfreda! — zbadź go pan i wypraw! Powiedz pan, że wrócimy późno. Nie lubię go czegoś!... *Zabiera się do odejścia.*

KORYCKI *idąc ku niej.*

Pani Albino!

ALBINA *szorstko.*

A! daj pan spokój! Czego?! *Wychodzi.*

KORYCKI.

Lubię, lubię! *zagląda za sofę, słyszy głosy z kuchni, odwraca się.*

SCENA II.

KORYCKI — NIUNEK LUBICZ.

LUBICZ, lat 27, świeżo ogolony, twarz ściągła — pośród niej wielki nos, osadzony niesymetrycznie; w górnej szczęce brakują przednie zęby. Ubrany w czarny anglez, wytarty i takież spodnie — czysty, wysoki kołnierzyk, jasną krawatkę i czyste manszety. Poprawia co chwila krawatkę

i muska wasa wskazującym palcem; sepleni; mówi dyalektem lwowskim, akcentując czasowniki w pierwszej osobie na trzeciej od końca; od czasu do czasu porusza charakterystycznie prawem ramieniem, jak gdyby mu za kołnierzykiem coś zawadzało.

LUBICZ *wchodząc.*

Aa, jak się pan ma! Cos tam ciekawego słyhać? *Zrzuca hawelok i z kapeluszem wiesza go koło szafy; zdejmuje kalosze — odstawia je i parasol koło kufra.* Nie wiem, czy Fredzio zaraz przyjdzie, bo mówiła mi Albina właśnie, że mają się spotkać i razem gdzieś pójść, ale zatsymam się chwileckę.

KORYCKI.

Hoho! Pan musisz mieć wizytę w projekcie... wyświeżony, wyanglezowany!

LUBICZ.

Wis pan, ale tak pod sekretem! Staram się o jedną pannę. Mówię panu, ślicna! ślicna! Mam trosku szczęścia do kobiet! Ładnie zbudowana, nabita w sobie! ubrana z komfortem!

KORYCKI.

Ze smakiem, chciał pan powiedzieć...

LUBICZ *rezolutnie.*

Z komfortem! z całym komfortem! *Wyjmuje cygaro, zakłada do cygarniczki, pali.* Ha! tseba się jus raz ozenić! Wszystko jedno! I proszę pana, nie dadzą człowiekowi zostać samemu! Dostanę posag... a to kawalerskie życie, te tarapaty!... niech to cart świśnie!

KORYCKI *siadając.*

To już niby na seryo?

LUBICZ.

Ach, panie! Na śmierć i na życie!

KORYCKI.

Ona, albo śmierć, chciał pan zapewne...

LUBICZ.

Ja dobrze powiedziałem! na życie i na śmierć!

KORYCKI.

O! to pachnie tragedią!

LUBICZ *tryumfująco.*

Proszę! proszę! zaraz tu co innego będzie pachnąć, dobrze, że mi pan psypomniał! *Kładzie cygaro na stole, idzie do haveloka i wyjmuję flaszeczkę, rozwija, wyjmuje korek i otwartą przytyka do nosa. Aaach! Idąc ku Koryckiemu. Powąchaj pan. Prawda, że cudnie pachnie! Kobity lo lubią, jak człowiek uważa na siebie i jest sarmancki... A ja jom bardzo kocham! bardzo! Nalewa perfumę na rękę — rozciera — wącha dłonie. A jak się rozetse, to jesse psyjemniejsa... ach!... Perfumuje surdut, kamizelkę i zwilżywszy palce, dotyka się brody, policzków i czoła.*

KORYCKI.

O! wonna miłości... tyndyryndy...

LUBICZ.

Panie, panie! a jak to Fredzio był jeszcze kawalerem, to my żyli jak po maśle!... *Chowa perfumę do haveloka.*

KORYCKI *poprawia.*

Jak w raju!

LUBICZ *biorąc cygaro.*

Raju nie raj! Ale Fredzio zrobił głupstwo i koniec! Chciał wyjść z honorem... a tu panie kobita, że jom nie zacypiaj! zła jak dziabeł! Ona go kompletnie zniszczyła, połamała życie! *Spostrzega się i mówi szybko.* Gdyby nie to dziecko! Aa! jak ładnie spi! bidne! Proszę pana: zerwać z ojcem, rodziną, z całym światem, cierpieć nędzę... ale nie ma co gadać! *Machnął ręką.* Jakbym miał tak trafić, wolałbym abym zdechł, jak... mys w kościele!

KORYCKI.

Niby... jak ruda mysz!

LUBICZ.

Et! co tam!... *Zbliża się do Koryckiego.* Ale jest inna sprawa. Proszę pana... tego... ja robię teras jeden interes. Dostanę minimum czterdzieści złotych, a jak dobrze pójdzie, może i pięćdziesiąt... tego... a tymczasem, wi pan, może pan byłby tak dobry... małą kwotę, na krótki czas... Bo wi pan, ona dziś jest z matkom i siostrom w teatse. Ja mam na nich cekać. Wymówiłem się, że wazny interes mi pseskodził, ale może potem pójdziemy na herbatkę. Tseba się jakoś postawić... a mam tylko parę sustek, więc możeby by mi pan na jeden dzień, pod słowem honoru, pozyczył guldena, pod słowem najświętsem — ja panu oddam najdalej za trzy dni.

KORYCKI.

Tyndyryndy... Bardzo mi przykro, że nie mogę panu służyć, ale u mnie stałe pustki. *Wyjmuje pulares.*

LUBICZ.

Ales... prosię pana! przecies ja wierzę! Et! to bagatela! jakoś to będzie! To jest tylko psejściowe! Pan wi, familia ze mną psy wisa...

KORYCKI.

Aha! Koty drże!

LUBICZ *zły*.

Niech będzie dze! ale jak zobacom, że człowiek zomaty, ze się ładnie ubira!... a jesce jak pojedzie z zonom fiakrem do teatru na pirse fotele... z sykiem, elegancyom, to im zaimponuje! co? ze pęknom!... co?

KORYCKI.

A niech pękają!

Wchodzi Alfred.

SCENA III.

CIŻ — ALFRED — SŁUŻĄCA.

LUBICZ.

A! jak się masz! nie spotkałeś się z Albinom? Mielście się zejść... mówiła....

ALFRED

wątlly, nervony, brunet, lat 26, mały wąsik, bujna czupryna spadająca na skronie, wyraz oczu bysty, żywy, otwiera je szeroko w chwilach gdy słucha mówiących lub obserwuje, szarpie często wąsa i odrzuca ruchem głowy gęstwę włosów wstecz, chodzi elastycznie; ubrany obcisłe, starannie.

Co?! Chyba żartowała! *Podaje mu rękę. Aa! Antoś!* Jak się masz? *Wita się z Koryckim. Obraca się ku Lu-*

biczowi i patrzy mu w oczy. Mówiła, że wychodzi na przeciw mnie?... co?...

ALFRED,

trzymając w ręku kapelusz, stoi i namyśla się. Po chwili.

Naprzeciw mnie?

Sirzepnąwszy palcami, rozbiera się i kładzie paletę na kufrze.

Siadajcie! Opowiadajcie! dysputujcie!... Ehe! Niu- nek w gali? Gdzież to idziesz?

LUBICZ.

A wis, mam się z mojom Zosiom spotkać po teatse...

ALFRED.

No, to dość przedsięwzięcie. Kiedy ją porzucisz? co? *Idzie do Henia, pochyla się nad nim.*

LUBICZ.

Kocham jom strasnie, bo taka dobra i poczciwa, jak sarenka.

KORYCKI.

Taka może rączka, zgrabna? a mówiłeś pan, że podobno tęga, zażywna w sobie, czy coś takiego...

LUBICZ.

Nabita w sobie, ale w sam raz.

ALFRED *stojąc przy łóżku.*

Dać się zdobywać... prawda?... A ty brniesz... Zre- szta zostawmy to. Przypatrzcie się, jak ten słodki chłopak śpi! O! jak to się wygodnie ułożył, jak od- decha! *Do siebie* Ale dlaczego nie rozebrany? przecież już czas! Korycki! widzisz, jakie czoło wysokie, jaki rysunek, co?

KORYCKI.

Lubię, lubię...

ALFRED.

Czy ty zastanawiałeś się kiedy, ile poezji, ile światów drzemie w takiej dziecięcej wyobraźni. Ten świeży, młody mózg... jak on chciwie pije wrażenia zewnętrzne... jakie tam się złudy i czarodziejstwa dzieją. To niby jak na niezapisanej tablicy ryje świat abecadło swych tajemnic, swych piękności.. Powstaje tam mnóstwo illuzyj, a potem przybywa profesor z czerwonym ołówkiem, życie, który to zadanie czyta i podkreśla błędy, popełnione pragnieniem marzeń i tęsknotą do ekstaz... oh!.. życie — pedagog podkreśla omyłki, a notę daje matka ironia. Ale ja go ustrzegę! Od razu, od pierwszych brzasków poznania wpoję weń wszystko uświadomienie bytu.

LUBICZ,

który był usiadł na sofie i przysiadł angielski, wstaje, poprawia go — bierze szczotkę i czyści, mówiąc równocześnie.

Ta pewnie!... Co takie dzieciątko wie? Proszę ciebie Fredziu... Pozwolis, że rozebiore się i wezmę tymczasem hawelok, bo mi się angielski pomnie i zawala... dobrze?

ALFRED.

A dobrze! Ale czekajno, dam ci co innego. Paletko stare Albiny, ja sam go nieraz używam, to moja bluza robocza, nawet atramentem zalana. Nie krępuj się, wdziej! *Wyjmuje z szafy długie paletko kobiece.*

LUBICZ.

Ja nie chcę... może Albina będzie zła...

ALFRED.

Nie ceremoniuj się. Ubierz i koniec.

LUBICZ przebiera się, wieszka anielez koło szafy.

ALFRED.

Ale gdzie ona! Gdzie ona poszła! teraz wieczór... sama?... Przeczuwam... *Uderza dłońią w kolano.*

KORYCKI,

który zezował na drzwi i nasłuchiwał.

Pewnie wróci niebawem...

ALFRED.

Zastaliście ją?

KORYCKI.

Właśnie wychodziła.

LUBICZ.

Tak, tak.

Słychać chrząkanie i kroki w kuchni.

KORYCKI *wstaje szybko.*

Daruj Fredzio, ale ja tylko tak na chwilę przyszedłem, by zapytać, co piszesz... Muszę już iść.

Bierze palto.

ALFRED.

No no... jeszcze parę minut! Czekaj... kto to przyszedł?

Idzie ku drzwiom, otwiera, zagląda.

KORYCKI *ubiera się.*

ALFRED.

A, to Józia. *Wracając. Służąca.* Ależ Antoś, rozbieraj się. Miałem właśnie pomówić z tobą o moim dramacie. *Rozbiera go.*

LUBICZ.

Wiecie co? gadajcie sobie, a ja tymczasem poprawię wąsa. Pozwolis Fredzio...

Idzie do komody, bierze lusterko.

ALFRED.

Ależ najchętniej.

LUBICZ, *wyjmując z kieszeni kamizelki opaskę na wąsy, przysuwa krzesło do komody, siada przed lustrem i zakłada opaskę, bierze zapalkę i poprawia nią wąsy za opaską, mówiąc od czasu do czasu „o tak“, zjada ukradkiem kawałek czekolady, potem nuci półgłosem.*

ALFRED *do Koryckiego.*

Żeby nam to gładziej szło, poślę po wódkę. Jaką ty lubisz? Czekaj. Aha!

KORYCKI.

Nie... nie! nie mam czasu, zaraz wychodzę.

ALFRED.

Kwadransik! Potem cię uwalniam. A więc. Chciałem początkowo pisać sub specie aeternitatis, wznieść się do najwyższych uogólnień... Zdawało mi się długo, że zdołam na mocy jakowegoś prawa antytezy, wspiąć się ponad zalew pospolitactwa, przyniesiony mi przez życie... że winienem tem wyżej się wedrzeć, im niżej przycisnął mnie przypadek bytu... Ale widzisz... chwilami powstawał we mnie żal, że zgubię świeżość obserwacyi, że zaprzepaszczę iskry, które we mnie się

rozpryskują, że zatracę wreszcie koloryt... oryginalne tło... mego... życia... Pali mię myśl o napisaniu wielkiego dramatu, wyjętego jakby z serca wszechistnienia... a tymczasem.. *Przez pół smutnie.* sprzeniewierzam się tej idei i nurzam lancet we własną pierś... Muszę uporać się prędko, nazbyt prędko... z tym.. dramatem... »moim«... aby raz już... służyć... »tamtemu«... Stąd ta we mnie gorączka... doraźność... łapię, kradnę życie... widzę i tworzę... prędko, szalenie!... może mi to ulgę przyniesie... *Przypominając sobie.* Aha!... wódka!... zaraz, zaraz! *Wychodzi do kuchni.*

KORYCKI *podchodząc do Lubicza.*

Tyndyryndy... Ależ to pan będziesz dzisiaj moderczo piękny!...

LUBICZ *patrząc do lusterka.*

A! proszę pana, raz żyjemy! jak wyglądać, to wyglądać!

ALFRED *wchodząc.*

Potem... proszę ciebie... dramat jest dziś wogóle na rozstajnych drogach. Co tu przesądów! co do budowy, co do jedności, co do prawdy! Antoni, wiesz, teatr jest dzisiaj brutalną instytucją cywilizowanego społeczeństwa. Teatr zepsuł dramat. Zważ. Odbiegliśmy od życia. Aktor staje przed publicznością, która sobie przedewszystkiem za spektakl zapłaciła, jest jej niewolnikiem, stając się zwolna »cenionym«, »naszym«, »znakomitym«. Gra na komendę. Wygłasza litanię kwestyi »na stronie«, aby widzów objaśniać, występuje na przód sceny, obrócony do nich honorowo, cedzi monolog, których żaden »normalny« człowiek w życiu tak obficie nie popęlnia. Mówi językiem, za który wzięto by go gdzieindziej za waryata. W czasie najwyższego uniesienia, za celniejszą scenę, odbiera a tempo

oklaski, świadczące, jak słuchacze są mało przyjęci akcją i jak oni przywykli do wszystkiego przykładać łokieć, mierzą na poczekaniu napięcie tragizmu i trzepią monetę uznania. Dla publiczności trzeba wyglądać najkorzystniej — a nie najwłaściwiej, jak tego rola wymaga.

KORYCKI.

Masz rację, wielką rację! Nie myślę nic z tego powiedzenia kwestyonować. Lubię, lubię.

Odnraca się ku drzwiom.

ALFRED.

I wiesz, to wszystko jest prostą konsekwencją owej wielkiej maksymy, mocą której człowiek mieni się królem świata, prefektem przyrody. Ten sam, który podporządkował sobie ziemię, słońce, księżyc... ten sam, czyniąc słońcu łaskę, że pozwala się ogrzewać, księżycowi, że pozwala się uromantyczniać, ten sam dobrał się do sztuki! Dalejże z nią do podnóżka swego tronu! Wymyślono »charaktery«... czarne, komiczne, naiwne i nuże w kombinacjach tych czynników szukać strawy dla swego ducha, nie myśleć forsownie, a nadewszystko bawić się! i śmiać się! dają przecie swój grosz! I co najwspanialsze!... ci, którzy śmieją się do rozpuku, nie wiedzą sami, że nie mają ani krzty zmysłu t. zw. komizmu. Oni śmieją się z arlekinady, którą każdy inteligentny artysta klnie! Oni nie wiedzą, że komizm, prawdziwy komizm, mieszka w sąsiedztwie tragiki...

LUBICZ,

który nucił coraz głośniej, powstaje.

Wis, Fredek, żaluję, że nie wstąpiłem do teatru. Taki miałem dawniej ślicy głos...

ALFRED *niezważając na to.*

Odebraliśmy sztuce jej macierzyste piętno. Patrz, przedstawienie wieczorne. Powódź światła, toalety, perfumy, revue publiczności; wytwarza się jakaś egzotyczna jaźń zbiorowa, wpośród której nikt nie czeka na zdrowy chleb dla duszy, ale na jakiś przysmak, na jakieś grzeczne delicye... nie dziwnego! Widownia cała urękawiczona, szeleszcząca, ujedwabniona! więc i to, co im się poda, winno być w rękawiczkach... Hahahaha!

KORYCKI.

Ale modnego... tyndyryndy... fasonu!

ALFRED.

Przypatrz się, ile komedyi, ile scen znajdziesz między publiką, ile nienaturalnych ruchów, giestów, sposobów przedstawienia się, a zawsze najokazalej i niby najswobodniej. Przypatrz się kobietom. One bo są mistrzyniami, one robią komedią tego, co się zwie towarzystwem. Gdyby w takiej chwili krzyknął ktoś »galerya się wali« — albo »pali się« — albo »trzęsienie ziemi idzie«, widziałbyś dopiero wszystko we właściwej skórze! Dumne, wzniosłe, piękne i dystyngowane panie wtenczas byłyby prawdziwe! Widmo śmierci zdarłoby napuszystość. Co?

KORYCKI.

A możeby i wtenczas jaka czuła, wzgardzona kochanka odegrała tragiczną, przedśmiertną scenę przed swym tyranem, idąc w zgubę jak w wyzwolenie. Weźmy w danym wypadku Zosię u nóg Lubicza...

LUBICZ.

Tylko mnie zostawcie! Zrestą jaby sam psyklęknął!

KORYCKI.

Ale — bo Alfredzie, wobec twoich argumentów — trzebaby sztuki takiej, sub Divo, rano, w kościele przyrody, lub co najmniej w amfiteatrze! Artyści czekali na święte spazmy swoje, jak fetysze! Co? Sztuka rozwinię się i przestanie być sztuczną ad usum... tyndyryndy... gaudeantis.

ALFRED.

Cóż! kiedy u nas jest więcej pseudokoneserstwa sztuki, niżli samej sztuki! Mamy moc augurów i augurków, arendujących głos opinii, który o tyle łatwiej i bieglej cenzuruje, o ile więcej stworzenie i wystawienie sztuki kosztowało trudu!

KORYCKI.

Dodajmy jeszcze do tego niebotycznie lekceważącą wyższość ponad wszystko co swojskie...

LUBICZ.

A ja wam mówię, że ze wszystkich sztuk to najładniejsza opera, albo operetka! Jak ładnie śpiwajom i ładne kobity... ach! ach!... naprzykład taka arya:
*Bierze się pod lewy bok, prawą rękę kładzie na sercu
i śpiewa:*

»Sumiom jodły na gór scyci,
Sumiom sobie w dal«...

ALFRED.

Pst! Henia zbudzisz...

HENIO *budzac się, siada.*

Tata!

ALFRED.

A! moje złote syneczki! Czekaaj, czekaaj, coś ci tu przyniosłem na jutro rano, ale kiedyś wstał, to nie płacz, dam ci zaraz! *Wyciąga z kieszeni palta ciasteczka.* To dla ciebie. Papaj grzecznie i sprawuj się cicho!

Całuje go.

LUBICZ *do Henia.*

Gzeczne bobo! gzeczne!

ALFRED *z humorem.*

A teraz Niunek, dokończ... wiesz, ten twój dobry humor ma coś żywiołowego!

LUBICZ *śpiewa.*

»Mnie młodemu tęskne życie,
Bo mam w sercu zal.
Niemam zalu do nikogo,
Tylko do ciebie nieboga«....

SLUŻĄCA *wchodzi w chustce na głowie i stawia flaszkę na stole. Wychodzi.*

KORYCKI.

Z czem do gościa?

Odprowadza ją wzrokiem.

ALFRED.

Pijmy!

LUBICZ *podchodzi nucąc i ilustrując giestami wysokość tonów.*

ALFRED *pije, nalewa Kor. i Lub.*

Wiesz Antoś, że spirytualia czynią mnie nieproduktywnym. Po dwu kieliszkach nie jestem w stanie

pisać, kreśle, dodaję, gładzę... i rodzę jakieś porozrywane strzępy myśli...

LUBICZ.

Dobrze, ze Korycki nie potsebuje nie pisać!

KORYCKI.

A to uciąż! Ktoby się spodziewał! No, no! Wobec tego najwyższy czas dla mnie zabrać się. Daruj Fredku...

Ubiera się.

ALFRED.

To bywajże zdrów! Nie zatrzymuję cię w takim razie.

KORYCKI *żegnając się.*

Do widzenia! *Do Lubicza.* Panie... tyndyryndy... do-widzenia!

LUBICZ *nucąc podaje mu rękę. Urywa.*

Pomylił mnie!

KORYCKI *wychodzi.*

SCENA IV.

ALFRED — LUBICZ.

ALFRED.

Kto z was pierwszy przyszedł?

LUBICZ

przerywając z niechęcią śpiew.

On.

ALFRED.

Albinę spotkałeś wychodzącą?

LUBICZ.

Tak jest. Wychodziła. Słysałem jednak trosku jak rozmawiali, gdy byłem w kuchni. Pytała go, czy bardzo kochał żonę, potem mówiła, że mnie nie lubi.

Uśmiecha się.

ALFRED *chodząc.*

Tak?! Pytała, czy... Słuchaj Niunek, ty wiesz, co się między nami działo i dzieje. Miałem przed paru tygodniami znów większą scenę z nią. Ona niewidzi światów, z których ja żyję, to jest moich myśli i moich porywów. Ty mnie rozumiesz, co?

LUBICZ.

Nie myśl znowu, że jestem taki głupi.

ALFRED.

Ciągle grozi, że mi więcej nieda pisać »historyjek«, to niby moje prace... i że spali mi wszystkie papiery... *Nagle.* Sądziysz, że nie wiem, gdzie ona poszła? Jest w teatrze, szuka mnie i czatuje, publiczny skandal aż świerzbi ją! *Zamyśla się.* Proszę ciebie, aha, dam ci dziś resztę moich szpargałów do przechowania. Mój drogi, schowasz je starannie, co? Bo to dla mnie tak drogocenne. Są tam moje pamiętniki i początek dramatu...

LUBICZ.

Naprawdę? Pises dla teatru? Mój Fredziu, jak będzie przedstawienie, das mi bilet na parter, prawda?

ALFRED.

Najnaturalniej.

LUBICZ.

Ubiore się świzutko, na ostatni guzik i będę klaskał.

ALFRED.

Ale... w ostatnich dniach namyślałam się... Dlaczego ja właściwie nie mam użyć tego, co życie mi niesie? Tak mi to łeb zaprzęta, tak mi to duszę przyjmuje całą.. Te walki kilku lat, spędzonych z nią — a spychane trwożnie w zakątki tajemnic świętych, bo osobistych — ha! ha!... te lata całe odezwały się echem przebytych nędz!... Prawdy wołają, prawdy krzyczą! Prawda jest jedyna! Ta prawda, która nie jest ani »surową«, ani »krwawą«, ani »bezwzględną«... to ludzie ją tak pokreskowali!... Ha... ha!... Ludzie są jak meblarze, sortują towar! Haha! *Pauza.* Chciałbym między innymi, postać Lubicza wskrzesić!

LUBICZ *dumnie.*

No, no, spróbuj, może potrafisz! Ale gadu! gadu! a tu ona gotowa nadejść! dawajże papiery, schowam do haweloka.

ALFRED.

Tak, tak! Zaraz!

Wysuwa szufadę komody, szuka, wysuwa drugą; idzie szybko ku szafie, otwiera ją.

LUBICZ.

Może się gdzie zarzuciły. Niema? Co? Das mi jutro!

ALFRED.

staje bezwładny, szarpie włosy nad czołem, do siebie.

Albo ta scena. Kobieta ograniczona, zła, pali mężowi skarbiec jego duszy, myśli z czasu jego wiosny, które drugi raz już nie błysną! *Z rozpaczą.* Nie błysną!... Ale gdzie moje papiery?! gdzie moje papiery!?

LUBICZ.

Wis... Fredku, może ona tak na złość schowała?
zebyś się trochę gryzł!

ALFRED.

Tak, tak. Zapewne. Nie może być inaczej. Ale gdyby!!

LUBICZ.

Z pewnością jest tak, jak ci mówię. Z pewnością.
Zrestą nie gniewaj się, ja muszę jus iść! napiję się
jesce dla fantazyi trochę wódki i w drogę!

Zdejmuje opaskę i pije dwa kieliszki wódki.

ALFRED.

Pij trzeci! pij czwarty! Jeżeli masz trzasnąć jakie
głupstwo, bądź pijanym. Będiesz się miał czem unie-
winnić.

LUBICZ.

Raz kozę... matka rodziła.

Pije dwa kieliszki.

ALFRED *obserwuje go.*

Tylko rozsądni i mądrzy myślą się w życiu, ale ty,
to nawet głupstwa nie zrobisz!

Słysząc pisk kobiety z kuchni: Ta joj! ta fe! Co pan robi!

ALFRED.

Co tam znowu!

Wychodzi do kuchni.

LUBICZ *przebiera się, wdziewa hawelok, muska wąsy,
ogląda się w lustrze.*

ALFRED *wchodząc.*

At! Korycki nie miał czasu, więc zatrzymał się w kuchni. Powiedziałem mu, by studia odbywał gdzieindziej. To jest ciekawy, niepewny człowiek! Lubię z nim rozprawić, ale czuję, że będę musiał rozprawić się.

LUBICZ.

A... on lubi pić i zacypiać. Ale bądź zdrow Fredku... i tego... jest jeszcze taka sprawa. Robię teraz w jednym miejscu interes i z pewnością będę miał minimum sto złotych, jak dobrze pójdzie, to...

ALFRED.

Mój kochany, niema.

LUBICZ.

Nie, nie! Pod słowem honoru, pod słowem honoru, na ty dni... albo do jutra, pozyc mi koronę...

ALFRED.

Mogę ci dać dwadzieścia centów.

Daje mu pieniądze.

LUBICZ.

Dobre i to... i te dwa sustacki. *Chucha w dłoń i chowa.* Dziękuję ci! no, to jus idę! Pa!

SCENA V.

ALFRED — HENIO.

ALFRED *przystępując do łóżeczka.*

Teraz mój przyjacielu, połóż się i zaśnij, ot tak.. *Całuje go.* Tatko będzie pisał...

Przykrywa go, idzie do komody, bierze z drugiej szuflady arkusz czystego papieru, papier i atrament, przysuwa krzesło do stołu, siada; zastanawia się, odkłada rączkę: wstaje, idzie ku oknu, zakłada ręce i patrzy przed siebie, uderza niecierpliwie dłońmi, przypatruje się dziecku, całuje go, zbliża się do stołu, zwiesza głowę, szarpie włosy.

SCENA VI.

ALFRED — ALBINA — HENIO.

ALBINA wchodzi szybko, nie patrząc na Alfreda, rozbiera się.

ALFRED stoi milcząc.

ALBINA rozebrawszy się, staje przy szafie, założynszy ręce w tył. Pauza.

ALBINA

przystępuje nagle do kufra, strąca nogą kapelusz i palto Alfreda na ziemię.

To nie ma już gdzie wisieć? Nie ma haka?

ALFRED Idzie na środek pokoju; przystaje, przypatruje się jej, bierze następnie palto i kapelusz, wiesz je koło szafy; wraca do stołu, bierze pióro.

ALBINA *pogardliwie.*

Literat!... Phi!!...

ALFRED *spokojnie.*

Proszę cię, bądź tak dobrą... rozbierz Henia i idź spać!

ALBINA.

Naturalnie! Jaśnie pan się wypacerował — wyłąził po teatrach — teraz potrzeba mu spokoju.

ALFRED *stanowczo.*

Tak jest! Pragnę mieć spokój!

Starając się opanować.

Albinka... no, no... dajże mi papiery, które pocho-
wałaś... chcę pisać.

ALBINA.

Haha! Może będziesz opisywał wyblanszowane chó-
rzystki! wysmarowane artystki! Powiedz, dużoś wskó-
rał?... co?... a co do papierów — spaliłam!

ALFRED

wpijając w nią wzrok, z groźnym spokojem.

Ty... lepiej nie żartuj!... Oddaj!...

ALBINA.

Zagrzałam sobie kolacyę na nich...

ALFRED.

Co?!!

Porywa się ku niej z zaciśniętymi pięściami.

ALBINA *uśmiechając się, ucieka.*

ALFRED

staje, gniotąc skronie — po chwili, do siebie.

Pyszna będzie scena!

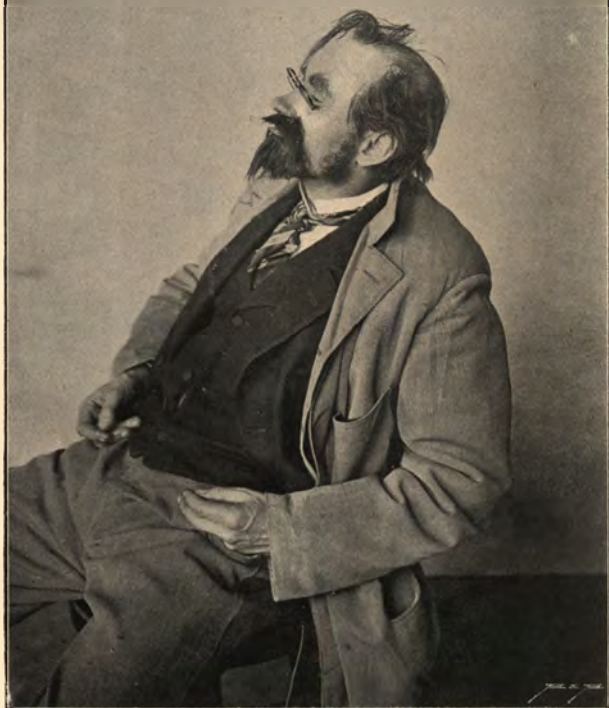
ALBINA.

Aa! tyle mego, że chociaż tak ci dogodziłam!

ALFRED.

Niestety, tyle twego! Po za tem już ciebie nie wi-
dać. Więc to stało się dlatego, że później wróciłem? Tak?

W TEM MIEJSCU
NAUMYŚLNIE —
= TYNTYRYNDY



ALBINA.

Nieboraczek! trochę się spóźnił! Ktoby cię nieznał, toby cię kupił... ty... podły!!

ALFRED.

A — już słownik twój na tapecie! *Unosząc się.* Przestrzegam cię, pohamuj swój dyabelski młyn! Pamiętaj o tem, ile musiałem znieść twoich szyderstw i klątw, zanim za prace moje, pisane ukradkiem, po nocach, przyniosłem grosz do domu. Pamiętaj, że to jest mój zawód... że ja muszę mieć spokój... że ja mam przyszłość przed sobą!

ALBINA.

Fiu! jeszcze nie widzieli takiego!

ALFRED.

Milcz!... bo...

ALBINA.

Bo będziesz mnie znowu walił! co?... Haha! ale ja nie będę już taka! Pierwszym lepszym garnkiem, lampą, łeb ci rozbiję!

ALFRED.

Słuchaj, ile razy cię uderzyłem — (a ty masz szczególny dar wprowadzania we wściekłość) — tyle razy upokarzałem się potem przed tobą, płakałem, jak pies byłem u nóg twoich... a tyś w takiej chwili kopała mnie nogą! już i to znosiłem! Sądziłem że moją łzą cię uszlachetnię, podniosę! upomnę! ubłagam! targnąwszy się na ciebie, nie mam w swoim domu przed czem głowy pochylić...

ALBINA

wyjmuje chleb, pieczeń, zajada, odrzuca. Idzie ku oknu, wraca, śmiejąc się.

Hahaha! haha!

ALFRED.

Chodzimy wokół siebie, jak dwa tygrysy! Takiej atmosfery ja znieść nie mogę! Zajmujesz się cudzemi sprawami, plotkami, co mi tyle zgryzot przynosi. Nie mogę w ciebie wpoić, że zamiast dwugodzinnego pytlowania, lepszy kwadrans pożytecznej lektury. Ba! od ciebie, jak od pancerza odbija się wszelka kultura!

ALBINA.

No, no! Prelekcyę możesz prawić komu innemu! Przecież ja jestem za »płytką« na takie filozofie!

ALFRED.

Ale za to masz także swoją gałąź... filozofię sensacji, której szukasz wszędzie... ciekaw też jestem, co byłbym usłyszał od ciebie, gdybyś mnie była spotkała w teatrze? Byłoby przedstawienie na przedstawieniu!

ALBINA.

Jeszcze kpić będziesz... ty!... nikizemny, ty!...

HENIO *budząc się, płaczeliwie.*

Tata...

ALBINA *do Henia.*

Spij! ty bękarcie przeklęty!

ALFRED *rzuca się z wściekłością ku niej, chwyta ją za kark, usiłuje drugą ręką dobrać się do szyi.*

ALBINA *broni się, uśmiecha się.*

ALFRED *dławiąc wybuch.*

Zamilecz! bo zduszę cię w rękach! zgniotę cię! zmiażdżę! ty bydlę!... *Idzie ku płaczącemu dziecku — pochyla się — do siebie.* Znakomita i smutna scena!

Odwraca się do Albiny. Otóż widzisz, to jest jedna, jedyna twa logika... zdeprawowanych. Logika kobiety! Mieliliśmy Henia przed ślubem. W twoim mózdzku majaczy coś, że wedle przyzwoitości świata, dzieci przybywają po ślubie!... że więc, jeżeli przedtem małżeństwo się zdarzy, to się dzieje już źle, niecznie, że więc ja jestem hultaj, a dziecko... wyrzutkiem!... bo poczęte wówczas, kiedy ja, ulegając szałowi, chciałem się zemścić na tobie, za twą kokieterię, za twój machiawelizm — posiadałem cię! i zemściłem się przez ciebie!... na sobie!!! *Nabierając oddechu.* Nawet wtenczas, gdy wziąłem cię za żonę, kochając tego chłopaczka bez granic, nawet wtenczas, pozostałaś w bagnach, które ja zostawiłem za sobą... pozostałaś wrogiem wszystkiego, co jest moją indywidualnością, wrogiem mego talentu, moich inspiracyj i nieubłaganym nieprzyjacielem tego oto małego, któremu nie mogłem żadną inną drogą dać swego nazwiska, jak małżeństwem z tobą!

ALBINA.

A... macie łaskawcę! czulego tatka! prawda, jak ja mam dobrze przy tobie! Haruję, szuruję, pioreę, chodzę obtargana... przyjaciółki moje trzymają sługi, mają mężów, którzy na ich skinienie wszystko robią! a ja co?

ALFRED.

A... otóż widzisz! dalsze konkluzye tej samej logicznej drogi! Przecież ja żyję tak samo, jak ty, pracuję bez wytchnienia. Ale ty stoisz zdala odemnie, żyjesz przy mnie, ale nie ze mną! Nie dzielisz moich myśli! Patrz... kobieta, której mąż sprawi tualetę, nie mówi nigdy swym przyjaciółkom »kupiliśmy dziś sukienkę« — tylko »mąż mi ją sprawił« — tak jest! mąż! mąż! mąż!... bo mąż to jest coś odrębnego, inna ręka,

3*

inna kieszeń... Wy chcecie dzielić chleb, nie dzieląc zabiegów, ideałów, goryczy bytu... a jeśli cierpicie, to jest to w każdym razie cierpienie z wielkiej łaski!! Mężczyzna młody, zbliżywszy się do kobiety, zaczyna w swem życiu lecieć po równi pochyłej. Poloty jego blakną, drą się, a on się wprzęga! wprzęga!! Robi się tak zwane małżeństwo i zaczyna się wegetować w klatce, której ściany malują się symbolami dawnych pragnień i nadziei...

ALBINA.

Bogdajbym była wtedy w ziemię zapadła, kiedy miałam wyjść za ciebie! Ja mówię, niech tę mamę pan Bóg ciężko skarże, że tak mnie parła i piekła! Byłabym szczęście zrobiła! Ouwa! Albo ja to pierwsza i ostatnia?! A mozem ślepa? kulawa! Co? Byłbyś sobie mógł spokojnie wrócić do swego tatuńcia!

SCENA VII.

CIŻ — LUBICZ.

LUBICZ *wchodząc.*

Parasol i kalose zapomniałem. *Do Albiny.* Całuję rącki! Co to za pech! A bez kalosy to człowiek nie wygląda nawet wcale! *Szuka, kładzie kapelusz na kufrze.* Aha! koło kufra! Dobrze, że jesce się nie spóźnie! Ale musę pędzić galopa! *Pochylając się, by wdziać kalosze, spostrzega papiery.*

ALBINA *naśladowując jego wymowę.*

Ubies się, ubies się w kalose, Niunku! to będziesz psynajmniej sykownie się prezentował! Moze potseba ci minimum korony jesce? *Pod nosem.* Idyota!

LUBICZ,

który schował ukradkiem papiery pod hawelok — ze złośliwym tryumfem.

Tylko skocę jesce do domu, by odnieść te papiery, które mi zawadzają!

Pokazuje zwój papierów z zanadrza.

ALFRED.

Gdzie były?

ALBINA.

Oddaj zaraz! Twoje?!

ALFRED *do Albiny.*

I nie twoje! rozumiesz! Pozwalam mu je zabrać!
To moja własność!

LUBICZ.

A widzisz! dobrze ci tak!

ALBINA

chwytając go za połę haweloka.

Ja ci mówię! Oddaj! jeżeli niechcesz mieć ze mną do czynienia! ja ci pokażę!

LUBICZ

trzymając w ręku parasol — wyryna się i ucieka naokoło pokoju. Śmiejąc się złośliwie.

Nie psuj haweloka, bo sama chceś, abym .. *Akcentuje* sykwownie się prezentował! Co?

ALBINA.

Podrę na strzępki!!!

LUBICZ *szamocąc się.*

Puscaj! Ta no! *Zły.* Co do kaduka jakiegoś! Spóźnię się! *Wyrywa się.* Zosia ceka!

ALFRED

przypatruje im się z zajęciem.

Scena komiczno-charakterystyczna!...

ALBINA *do Alfreda.*

Ty się patrz i uśmiechaj!!! *Do Lubicza.* Dajesz!!!

LUBICZ.

No, no, no! Cekaj! Oddam! Psecies wy się tam pogodzicie! Co ja się mam między was miesać! Tylko mnie puść! Ale oddas w tej chwili Fredziowi! prosię ciebie! żeby on potem do mnie nie miał zalu!

ALFRED *gest niepokoju.*

ALBINA *puszcza Lubicza.*

LUBICZ *szukając pod hawelokiem.*

Zaras! zaras! O są!

Pokazuje język i ucieka przez drzwi do kuchni.

SCENA VIII.

ALFRED — ALBINA — HENIO — SŁUŻĄCA.

ALBINA

biegnąc za Lubiczem do drzwi.

A ty! ośle! nie przyjdiesz mi tu więcej! Patrzcie! jaki dowcipny! No i cóż?! *Do Alfreda.* W pięknych rękach spoczywają twoje arcydzieła! Dobrało się dwóch! Haha!

ALFRED.

On je przynajmniej uszanuje, bo wie, że mają dla mnie wielką wartość! A ty! nienawidzisz wogóle zapisanego papieru... w tym zaś razie nienawidzisz tego pisania razem z jego autorem.

ALBINA *ze wstrętem.*

Ach! nienawidzę cię! nienawidzę cię! nienawidzę!

ALFRED.

I miłość nasza była tak wielką nienawiścią ras, typów, intelektów, że aż zdawała się ciągnąć nas ku sobie jaskrawością kontrastów.

ALBINA.

Tyś mi się odrazu niepodobał!

ALFRED.

To dowód, jakie zrobiłem wrażenie.

ALBINA.

Ty o wszystkim masz zboczone pojęcia! Obrócisz kota do góry nogami! Ale wiedz, że lepiej mieć dobrego kochanka, niż męża z przewróconą głową, albo gałgana! Taki nie uszanuje, że żona się poświęca... A może potrafisz mi co zarzucić? Może chodzę gdzie, jak inne, romansuję, może prowadzę się jak ostatnia, powiedz? co?!

ALFRED.

Że nie jesteś rozwiązłą! Prawda! ale to jest tylko kwestya ciała!... bo dusza! dusza! dusza!!! twoja jest nierządna! Zwlekasz mnie i małżeństwo nasze w zaduchę, w stęchliznę! nie wzdragasz się walczyć go publicznie!...

ALBINA.

O! jak on patrzy na mnie. Jakie te oczy bazyli-
szkowe! Tak nie patrzyłeś pewnie na swoją Lili!

ALFRED.

To czasy mojej swobody! Mówisz... oczy bazyli-
szkowe! A wiesz dlaczego?... Bo przezieram cię niemi
na wskrós! aż do dna tych mętów, które zwą się twą
duszą!

ALBINA.

Ty gadzie! wypileś moją krew, moją młodość, moje
zdrowie! wyzyskałeś mnie! gdyby nie to dziecko!
Plącząc. Czekał! czekał! ja ci się jeszcze odwdzięczę!

ALFRED.

Kpię z tego! *Dosadnie.* E!... noli proicere margari-
tas...!

HENIO zaczyna w głos płakać.

ALBINA

przybiega do łóżka, uderza go i przetraca.
Nie rycz! ty bachorze!

ALFRED.

Ach!

Przyskakuje do niej w najwyższej wściekłości.

ALBINA *uchyla się i pada na sofę, trzymana przezeń za
ramię.*

ALFRED.

Ha!! ty hyeno!!! *Przenraca ją.*

HENIO *krzyczy ze wszystkich sił.*

SCENA IX.

CIŻ — SŁUŻĄCA.

SŁUŻĄCA

wbiega, orientuje się i szarpie Alfreda za ramię.

Ta joj! ta proszę pana! to proszę pana! ta już dosyć!

ALFRED

chwytą się za skronie, idzie chwiejnie parę kroków. Do siebie.

Najwyższe naprężenie akcji! Scena brutalna! Mój dramat rośnie!

Chwyta palto, kapelusz, wybiega.

Akt pierwszy gotowy!

SŁUŻĄCA *trzęsąc Albinę i podając wody.*

No... i widzi pani... do czego to?...

Uspokaja dziecko.

ALBINA *siada.*

Poszedł?

SŁUŻĄCA.

Poszedł!

Pauza.

SŁUŻĄCA.

Ja pani mówię. . obeszłoby się i bez tego...

ALBINA *zbliża się do komody — przy lusterku poprawia włosy.*

SŁUŻĄCA *całuje Henia.*

ALBINA *głośno i swobodnie.*

Ta... on. nie jest taki zły... ale ja sobie z nim poradzę inaczej!...

ZASŁONA.

AKT DRUGI.

Scena jak w I akcie.

SCENA I.

ALBINA — SŁUŻĄCA.

SŁUŻĄCA *ubrana do wyjścia, z kobiałką.*

To mięsa wziąć tylko pół funta, zielone za centa, funt mąki i smalcu ćwierć funta.

ALBINA.

Tak.

SŁUŻĄCA.

A tego... ta proszę pani, mięsa trzeba cały funt, bo niby jak pan wróci, to nie starczy na obiad.

ALBINA.

Tam gdzie siedział całą noc, niech mu dadzą jeść! Może fetę przygotować?!

SŁUŻĄCA.

A czy pani wie, jak Boga kocham, jak te ludzie w kamienicy, to telegrafem wszystko wiedzą! Ten De-

retkiewicz jākajło pytał się mnie na podwórzu, czy pan przyjdzie do domu, bo powiada, jak go machnęło na całą noc, to będzie bida.

ALBINA.

Tere! fere!... jaka bieda? *Chodząc.* Ale z kąd oni już to wywąchali?

SŁUŻĄCA.

Paani, to już taki gatunek! Aha! tego... pada, że musi się z panem zobaczyć, że ma z nim małe posiedzenie.

ALBINA.

Czego znów ta żyrafa chce?

SŁUŻĄCA.

Nie mogłam się wywiedzieć, bo proszę pani, jak stanął, jak się zacukał!... Ani rusz! a tu tymczasem żona go zawołała przez okno. Widziałam, jak naładowała sobie taką długą pelerynę, jak dzwon, a jakże, i kapelusz jak rzeszoto... o! tej babie nic nie brakuje.

ALBINA.

Mówisz... długą pelerynę i nowy kapelusz! Ha! ha! warto będzie widzieć koczkodana! ha! ha! *Chodzi chwilę, przystaje.* Słuchajno, wstąp po drodze do tej kawiarni z czerwonym szyldem, wiesz... i niby tak... zapytaj się, czy pan tam wczoraj nie był.. albo nie! Czy pan tam laski nie zostawił. Rozumiesz, jak ci powiedzą, że nie, to znak, że tam był!

SŁUŻĄCA.

A prawda! a tak, tak!

ALBINA.

Powiesz, że to była pamiątka... gdzieś się zagubiła...

SŁUŻĄCA.

Ale proszę pani, pan wyszedł bez laski.

ALBINA.

Głupiaś! To niby tak się pytasz.

SŁUŻĄCA.

A prawda! A tak, tak! No, to ja już idę.

Wychodzi.

ALBINA.

A nie baw się! aha! czekaj! możesz tam powiedzieć, że pewnie ktoś z tych panów, co z panem byli, zabrał przez pomyłkę, iii., tak jakoś sprytnie dowiedz się, kto z panem był... może kto z teatru... a może jakie kobiety...

SŁUŻĄCA *tajemniczo.*

Aha! a tak! a tak! To niby tak bokiem zapytać... od niechcienia! niech pani będzie spokojna! A proszę pani... jakby pan teraz przyszedł — ja pani mówię, ja znam mężczyzn!... lepiej politycznie, grzecznie, »a możebyś to«, »a możebyś owo«... i niby... »po co to było?«... A jemu się zrobi miękko. Pani! Ja znam mężczyzn! On wszystko wyśpiewa jak nakręcony!

ALBINA *porywczo.*

Grzecznie! łagodnie! Onby dopiero pokazał, co umie! Idź już! idź!

SŁUŻĄCA.

Pani! taże my na śmierć zapomnieli! Masz tobie!

ALBINA.

Co takiego?

SŁUŻĄCA.

A pani se jeszcze nie przypomniała? Taże dziś akuratnie! jak na złość wypada wielkie pranie!

ALBINA.

Aha! dobrze już! dobrze! Zabieraj się! Przygotuję ci, co masz prać.

SŁUŻĄCA *wychodząc.*

Człowiek odurzał! Po ki dyabeł przypomniałam?

SCENA II.

ALBINA — DERETKIEWICZ — DERETKIEWICZOWA.

ALBINA *staje przed lustrem, poprawia włosy i idzie do kufra; podnosi wieko, wyrzuca bieliznę.*

Pukanie.

ALBINA.

Kto tam? Proszę?

DERETKIEWICZ *mężczyzna wysoki, trzydziestoletni, chudy blondyn; mówi płynnie, choć chwilami zacina się; wąs skapy i rzadki, zwieszony nad wargi; włosy zaczesane na czoło, rozdzielone: policzki trochę zapadłe. Ubrany nędznie, w za krótki surdut i za krótkie spodnie; na nogach olbrzymie buty; z poza rękawów surduta wystają długie, kościste ręce; kołnierzyk za wysoki i za szeroki; bez krawatki.*

Wsuwa głowę.

DERETKIEWICZ.

Niemać panać Kaliny?

ALBINA *szorstko.*

Niema!

DERETKIEWICZ *stając w drzwiach.*

Panić Kalinać! niech się pani tak nie ruca! Jai tak właściwie z panię mam porachubę! Co ppani ma się mięszać w cudze sprawy! Co pani po sąsiadach rozgaduje, że taki cudak, jak mmoja żona powinien iść na służbę, a nie w domu gnić i czekać, co ja przyniosę! Ja jestem jej mmaż i nie pozwalam jej robić! Ona jest swoją ppanią i basta.

DERETKIEWICZOWA

szybko, wysokim dyszkantem, z poza plec Deretkiewicza, z kuchni.

Tak jest! tak jest! swoja pani! swoja pani! swoja pani! Wara komu do tego!

DERETKIEWICZ *obracając się do niej.*

Mmamuńciu, mmamuńciu, czekaj...

DERETKIEWICZOWA

wypycha go przez drzwi, wpada w kraciastej długiej pelerynie, czerwonym kapeluszu, białych rękawiczkach; małe, ciemne oczy, nos kabłąkowaty, włosy przylizane gładko; twarz czerwona.

Pani myśli, jak mnie pani zna, jak byłam służącą, to mi teraz można po piętach deptać! O! widzieliście ją! a to wychowanie śliczne! A to pięknie! to ci wychowanie.

ALBINA.

Możeś nie chodziła z konewkami?

DERETKIEWICZ *rozkładając szeroko ręce.*

Aaa! przepraszam! Wwara tykać moją żonę! wara tykać! wara tty...

Zacina się i przymyka oczy.

DERETKIEWICZOWA.

Wie pani, że z panią nawet szkoda gadać. My się z mężem pani będziemy jeszcze widzieli! Chyba, że nie wróci!

DERETKIEWICZ *przychodząc z wysiłkiem do słowa.*

Mmamuńciu, czekaj!

ALBINA.

Macie! Mężem będzie mnie straszyć! Ja się go tak samo boję, jak was! Zabierajcie się! Jemu się także oberwie!

DERETKIEWICZ.

Dobrze, dobrze! Zobaczymy! Takiego męża mieć! Jak on może wytrzymać z taką sekutnicą...

ALBINA.

Wynoście się! wynoście się!

DERETKIEWICZOWA.

Zamknij se gębę!

DERETKIEWICZ.

Mmmamuńciu, chodźmy... daj spokój...

Bierze ją za rękę i wychodzą.

DERETKIEWICZOWA *wsadzając głowę przez drzwi.*
Bogdajbyś się rozpękla! ty... chorobo!...



ALBINA *podbiega ku drzwiom, zatrzaskuje.*

DERETKIEWICZOWA *za drzwiami.*

Czekaj! czekaj! damy ci bobu na kwaśnym sosie!

SCENA III.

ALBINA — WISIA — PROFESOR — ELŻBIETA.

ALBINA *chodzi chwilę podrażniona, trze dłonie o siebie; idzie do kufra, wyjmuje bieliznę, rzuca ją silnie o ziemię. Pukanie.*

ALBINA

biegnie niecierpliwie ku drzwiom, uchyla, patrzy.
Aaa! Wiśka! Proszę!.. Co się stało, że przychodzisz?

WISIA

wchodzi, kobieta rosła, tęga, trzydziestokilkuletnia; twarz bezduszna; ubrana suto, drogo, bez smaku; kapelusz odwinięty wysoko nad czołem. Rzuca się efronteryjnie. Nie witając się.

No... no... ja wiedziałam, że z tym drabem tak się skończy! Pokaleczył cię?

ALBINA.

Ta... byłby zadusił!... Ale skąd ty już wiesz o tem?

WISIA.

Całe miasto trąbi!... Skąd wiesz! Służąca wasza szła z Heniem. Spotkałam ją. Wyśpiewała wszystko! Opowiada, że gdyby go nie była oderwała od ciebie, byłby mordował! Mówi: zbladł! był taki straszny!... A dziecko aż się zaniósło od strachu! gotowe dostać choroby świętego Walentego.

ALBINA.

A!... Niech tam! Ma być kiedyś jak jego tatko...
niech lepiej zdycha!

WISIA.

Wybrałaś sobie mężulka! Coś chciała, to masz!

ALBINA.

A czegoście mnie przymuszali?

WISIA.

Ale dobrze ci tak! Nie trzeba było blisko do siebie
przypuszczać! Za łeb trzymać, z daleka! Teraz cię
za to poniewiera!

ALBINA *w pasyi.*

Hoho! Ale on się nie spodzieje! dogodzę mu! wszystko
jedno! Jednego łajdaka mniej, nie wielka będzie szkoda!

WISIA.

Aha! dopiero teraz masz rozum! To zapóźno!

ALBINA *porywcz.*

Zostawię mu bachora i niech ich czart bierze!

WISIA.

No... a co potem?

ALBINA.

A! to mnie bardzo obchodzi!

WISIA.

To się tak tylko gada! Zamiast płakać, złościć się...
lepiej, jak on przyjdzie z hulanki, z góry go! przy-
ciąć różków! Ta joj! Ta Chryste Panie! Gdybym ja

miała takiego męża, coby się poważył podnieść rękę na mnie, to byłaby jego ostatnia godzina!

ALBINA.

Oj tak gadasz! A gdybyś go zobaczyła, jak się uniesie, jak się rzuci na człowieka!... wygląda jak waryat.

WISIA.

Głupiaś! On widzi, że się go boisz i dlatego tak bryka.

ALBINA *placząc*.

Tobie udało się takiego dobrego męża dostać, który cię ubóstwia, marnego słowa nie powie, a tu niedość, że nie ma, czego potrzeba, jeszcze bije!

WISIA.

Nie becz! nie rycz! Zapóżno! Nie ma czego! On musi się raz przekonać, że się go nie boisz, że jesteś gotowa do wszystkiego! Rozumiesz?!

ALBINA.

Ubiłby mnie!

WISIA.

Nie! nieprawda! Jakby cię zobaczył w furii, zarazby położył uszy po sobie! Na takich łajdaków bicz, kula, wszystko, co pod ręką! Ta joj! Ta Chryste Panie! Jabym mu tu wszystko pogruchotała w chałupie, potłukła na tysiąc kawałków, a on sam do szpitala by poszedł! Jeszcze nie było takiego chłopca, na którego by kobieta sposobu nie znalazła!

ALBINA.

Oj! żeby on ciebie był dostał! żeby on ciebie był dostał!

WISIA.

Prędkoby spokorniał! Popatrz, jaki Tomaszek jest posłuszny! Oj ty, ty! głupia gęś!

ALBINA.

No, to co robić? co robić? Tobie dobrze gadać!

WISIA.

Co robić? Pensyę odbierać co do centa! bo jak taki obijbok czuje grejcar przy sobie, to zaraz dmucha, zaraz mu się wydaje, że on pan! Potem, nie puszczać nigdzie po za dom! Wieczór buty zamknąć na klucz! Niech tu śmierdzi! Niech go nigdzie nie nosi!

Po pauzie zbliżając się do niej.

A... czy pani *Akcentuje ironicznie.* Kalinowa wie, co za historyjki krążą o panu małżonku?

ALBINA *podskoczywszy.*

No! no!... co?!

WISIA.

...że ma romans z aktorką!

ALBINA,

biegnąc szybko wzdłuż pokoju, tam i napowrót.
Zabiję!!! zarżnę go nożem, jak wieprza!!!

WISIA *zwolna.*

Czekaj! nie koniec! Przed nią żali się, że ma taką złą żonę, czarownicę!

ALBINA *wściekle.*

Ih! ih!...

WISIA.

A jakże! czarownicę!... że będzie musiał separować się z nią!!

ALBINA,

rzuca się na sofę, bije podeszwami o podłogę.

Czekaj Fredeczku, Freduńciu!

WISIA.

A czy ty wiesz, nieboraczku, co taka aktorka może kosztować... ile ona zje pieniędzy?... na stroje, kolacye, dorożki... co?... wiesz ty!...

ALBINA *przechodząc w płacz.*

A tu żona chodzi, jak dziadówka! pończochy podarte, buciki bez obcasów! to mój dorobek!

Płacze.

WISIA.

A to głupia! Płacze! Młoda, przystojna kobietka nie może zapłacić pięknem za nadobne! Jabym mu zaraz zaprezentowała tuzin wielbicieli, albo bym sobie jednego a dobrego tak wytresowała, że całowałby moje ślady. *Pauza.* Aha!... wiesz!... już kilkanaście razy pytali się u nas rozmaici panowie, co się z piękną panną Albiną dzieje?

ALBINA.

Cóż ty na to?

WISIA.

Że.. umarła.

ALBINA.

Oh! o! o!...

WISIA.

A takie twoje życie nie jest śmierć?

Po pauzie.

Znaleźć sobie jakiego młodego, bogatego, do zabawy, do prezentów! i żyć całą gębą! tyle naszego, co człek zeżre smacznie, wypije i ubierze się!

ALBINA.

Słuchajno... a gdyby i Tomaszek tak samo robił?

WISIA.

Dobraś sobie! Ta Tomaszek chodzi koło mnie na palcach! jak cień! ja potrzebuję się tylko popatrzeć. O tak! widzisz! a on się już kuli! Tak się prowadzi mężów!

ALBINA.

Tomaszek swoją drogą chodząca poczciwość, ale ślamazarny!

WISIA.

Co? ślamazarny! Ale w domu gnije i nie ucieka na noc od żony! Ta joj! Ta Chryste Panie! jabym mu chałupę rozniosła! A ja ci mówię... taki ptaszeczek, jak pan Alfred, to... u niego nie kupić... może czmychnąć za dziesiątą górę razem z tą lafiryndą z teatru, z tą małpą!

ALBINA *niespokojna.*

Ej! nie! ej! nie! choć może... kto wie! No!...

WISIA.

Ja ci mówię, pilnuj się! pilnuj się!!!

ALBINA.

Coby tu na to zrobić!

WISIA.

Co? Poprostu... wywabić gagatka grzecznie, aby przyszedł do domu, potem *Ilustruje ręką*. do ziemi!... do ziemi go!... guzów nabić, nos rozwalić! a fantazyja zaraz zwietrzeje!

ALBINA

namyśla się, później z pasyą.

Tak jest! tak jest! wszystko jedno!!! Masz słusznosc! *Chodzi*. Albo tak jak inne wyromansować się, wyhulać! Raz się żyje! *Stając przed Wisią*. To... mówisz... pytali się jeszcze o mnie?

WISIA.

A tak. Kilku twoich dawnych adoratorów. Gdyby oni wiedzieli, jaka koło ciebie bryndza! Hahaha!

ALBINA.

Alem była głupia! głupia! Dzisiaj widzę! U tego to mi się nie podobało, u tamtego owo, wyśmiewałam, a teraz, masz!

WISIA.

Aha... czy powiedziałaś ci już, że za chwilę przyjdzie tu mama z Tomaszkiem.

ALBINA.

Mama! Pocięcha! Niechcę jej widzieć nawet. Zamiast z nimi gadać, wolę pomyśleć o praniu!

Idzie do kufra, układa bieliznę na podłodze.

WISIA.

Zachciewa ci się teraz prania!?

ALBINA.

Jak przyjdzie, aby nie myślał, że tu się z desperacyi za nim nie robiło! że się zapomniało o bożym świecie!

WISIA.

A tego... jak oni przyjdą, nie słuchaj ich! Pamiętaj com ci mówiła, bo źle wyjdiesz! Popatrz się tylko, jak wyglądasz! denerwuj się dalej, a za rokzek naciągniesz nogi! On nie zginie! Jego dyabli nie wezmą!

ALBINA.

O! o! *Kima głową.*

Pukanie.

WISIA.

Ta nie pukaj! nie pukaj! on będzie pukał!

Otwiera drzwi i wciąga profesora do pokoju.

ELŻBIETA — PROFESOR *wchodzą.*

ELŻBIETA *kobieta sześćdziesięciokilkuletnia, zażywna, w pelerynce i toczku na głowie, wyloczkowana, chytra.*

Albinko, co się tu stało? Zawsze wojna? Aaa! tu się trzeba raz familijnie naradzić!

ALBINA *ironicznie.*

Albinko, co się stało! Nie trzeba mnie było gwałtem wypychać za tego łajdaka! Ma mama swego zięcia! Może go mama wziąć na pamiątkę! Byłabym sobie jeszcze dała rady na świecie.

Placze.

PROFESOR *do Elżbiety.*

Pomału, nie drażnić jej! Niech pierwsza gorączka minie!

WISIA.

A! macie jednego! Może jej dać kompresy! Co? Ten ją tłucze jak w bęben, a tu filozof!... o! »pomału« mówi! Z a r a z, z a r a z trzeba z tem porządek zrobić!

PROFESOR.

Ależ Wisieczko...

ELŻBIETA.

Nie.. nie... niech się trochę uspokoi.

PROFESOR *mężczyzna średniego wzrostu, tęgi; szerokie, zaprasowane spodnie; zresztą ubrany niedbale; choleryk, mówi prędko, jakby w pasy; wobec żony zero, pantofel. Do Albiny.*

Więc proszę cię, jakżeż to wszystko było?

ALBINA *placząc.*

Chciał dusić...

WISIA *do profesora.*

Przyjemna lala! Co? Może to także jakoś da się wytłómaczyć?

PROFESOR.

Eee... dusić? Ale — bo to nie można chwycić się końcowego aktu... motywa! co poprzedzało? W jakim był stanie?

ELŻBIETA *porywcz.*

Ja jej już nieraz mówiłam, że ona nie umie sobie postępować. Po co zaraz dopuszczać do tego! Jabym politykowała.. nibyto grzecznie, słodko, a wszystko byłoby jak ja chcę.

WISIA *z furią.*

Polityka, jak motyka! Walnąć w gębę, aby spu-
chła! *Zamierza się i potrąca niechcący Tomaszka.* Trzy-
mać krótko, w cuglach!

PROFESOR.

Środek uniwersalny. Różne są koniki... Niektóre
cmokniesz — idą z miejsca, drugie — trzaśniesz
batem i poniosą!

WISIA.

Aleś ty nie poniósł jeszcze i nie poniesiesz!

PROFESOR *z humorem.*

To właściwość mojej rasy!

ELŻBIETA.

A ja mówię raz jeszcze... politykować! On się na-
łamię do tego.. hoho! Albinko, ty jeszcze tego nie
wiesz. Mężczyznę można tak oplątać...

Spostrzega wzrok profesora, poprawia się szybko.

Mężczyznę można urobić sobie, grzecznie, przy-
zwoicie!

ALBINA.

Dlatego, że mama za dużo tej przyzwoitości chciała,
to ja mam tak teraz! Prosiłam, dajcie spokój! Niech
go licho weźmie! A mama: nie! Chodziła, łąziła, pro-
siła, groziła; mamie to zawdzięczam! Politykować!
Haha!

PROFESOR.

A nie próbowałaś ty Albinko, tak... łagodnie z nim,
perswazyją?

ALBINA

Dalekoby z tem zaszedł!

WISIA.

Perswaduj, ty pało jakaś! Może o tem broszurę napiszesz! *Uderza go w brzuch.*

PROFESOR.

Ależ Wisieczko! Himmel thu dich auf!

WISIA.

Stul pysk!

ELŻBIETA

która bębniła palcami o stół.

Ale widzisz... muszę ci teraz odpowiedzieć. Ty mi tu nie wywodź, że łąziłam, prosiłam... Jakaś się z nim puściła, tak teraz cierp i cicho siedź!

Zapalając się stopniowo.

Jak kto tak daleko zajechał, niech teraz pamięta, że szukał smaku i doszukał się!

ALBINA *zrywając się.*

Co?! jeszcze mama będzie tu krakać?!

ELŻBIETA *z pasyą.*

Cicho! stul dziób!

PROFESOR.

Psst! psst! dajcie spokój!

WISIA *prowadzi go na bok i tam mu długo przedkłada, giestykulując.*

ALBINA *do Elżbiety.*

Mama temu winna! Jak taki... przychodził do nas, trzeba go było pędzić za dziesiątą bramę!

ELŻBIETA.

To byłabyś za nim latała poza domem! Bylibyście się ciągnęli, czort wie gdzie! Na wstyd ludzki!

ALBINA.

Na wstyd ludzki! Macie opiekunkę! A jak nas prosił na kolację, płacił fiakry, kupował branzoletki...

ELŻBIETA *z pogardą.*

...Ze srebra!

ALBINA.

Srebra, nie srebra!.. to wtenczas mama się także z nami tryndała! Prawda?

ELŻBIETA.

Płacił! nie wielkiego! Miał gdzie indziej tracić, lepiej, że z nami!

ALBINA.

Prosiła go mama, aby u mamy pieniądze składał.

ELŻBIETA.

Zamknij dziób! Chciałam dla waszego dobra! A wiesz! Wart pałac Paca i Pac pałaca!

PROFESOR,

któremu Wisia zaaplikowała w końcu cios w brzuch.
Ależ Wisieczko!...

WISIA.

Kto ma teraz rację? Ty safandulo! ty wołowino!

PROFESOR *idąc ku Albinie.*

Himmel thu dich auf! Przekonany już jestem, że to bezenik pierwszej wody! Chciałem go tłumaczyć,

ale widzę, że to wszystko dyabła warte. Wlazłaś w kaszę, jedz ją! Szkoda naszego zachodu!

WISIA.

Tak jest! Zostawmy ją! kruk krukowi oka nie wykole!

PROFESOR *biorąc Wisię pod rękę.*

Słuchaj!.. a może jednak... gdyby rozważyć...

WISIA *uderza go w brzuch.*

Co?! Jeszcze?! A niech tych filozofów zaraza ogarnie!

PROFESOR.

Ależ Wisieczko!

WISIA.

Ani dudu! Na klódkę! Rozumiał?!

ELŻBIETA.

Tu szkoda radzić! Oni się sami pogodzą!

Do Albiny.

Może nabierzesz już raz rozumu! Chodźmy już! Chodźmy!

WISIA *do profesora.*

Co mamy jeszcze dziś załatwić?

PROFESOR.

Czekajno... *Uderza się w czoło.*

WISIA.

Aj... ty... niezdara! Zapomniał!

Puka mu w głowę.

Fonograf mamy zamówić i wstąpić po drodze po dwie kiszki wątrobiane! Co w tej głowie siedzi?!

ALBINA.

Aa! dużoście mi naradzili! Wyście sobie także do-
brzy! Idźcie lepiej fonografy wybierać! Mameczka
i Wisieczka wstąpią może z Tomaszkiem na śniadanko!
Smacznego!

WISIA *do profesora.*

Słyszysz? *Trąca go.* Pakuj do domu! Zabieraj
szmaty! *Do Albiny.* Życzymy powodzenia! Jakeś taka
wymowna, nie potrzeba ci nic objaśniać! Urządź sobie
polowanko na męża! Może go gdzie jeszcze złapiesz!

ALBINA *pogardliwie.*

Zacna familja! przyjdą, napyskują, nie pomogą!
i zabierają się do.. restauracyi, na piwo, ze zmartwienia!

WISIA.

O! macie języczek! słyszycie!

ALBINA.

Twój lepszy! wytrawny!

PROFESOR, ELŻBIETA.

Cicho! cicho! dajcie pokój!

ALBINA.

O! mama z politykowaniem!

WISIA.

Siedź cicho, bo ci coś takiego wlepię!

ALBINA

porywa się ku niej z bielizną w ręku.

A ja poprawię! spróbuj!

WISIA.

Macie za dobre serce! Ta piekielnica!

Rzuca ku niej album, wzięty ze stołu.

ALBINA.

Kto! kto?! Ja ci tu zaraz dam!

WISIA.

Tomaszku! ty ciołku jakiś! On sobie z tego nic nie robi!

PROFESOR, ELŻBIETA *wpadają między obie.*

ALBINA i WISIA *drą się ku sobie.*

WISIA.

Puszczajcie! dam ja jej!

ALBINA.

Zamknij wrota!

ELŻBIETA.

Co to jest! Skaranie boskie!

PROFESOR.

Himmel thu dich auf!

Powtarza kilkakrotnie.

Krzyk, hałas, szamotanie się wśród bielizny; profesor nawija się pod parasolkę Wisi i dostaje raz, wyprowadza ją wreszcie, czerwona, zasapaną, w kapeluszu na bakier.

ELŻBIETA *do Albiny, wściekle.*

Ty belzebubie wcielony!

ALBINA.

Małe, ale zacne towarzystwo!

ELŻBIETA *rozsierdzona.*

A! pozatlukajcie się oboje — to zrobicie najlepiej!

Wybiega.

ALBINA *za nią.*

Narada familijna skończona!

Chodzi szybko po pokoju, roztrącając bieliznę. Pauza.

Teraz dyabli wiedzą, co robić!

Siada na sofie, zastanawia się.

A nuż! drapnie! a nuż! drapnie!

SCENA IV.

ALBINA — KORYCKI.

KORYCKI

odchyła pomału drzwi, patrzy zdziwiony na nieporządek.

Tego... jak się pani miewa?

ALBINA *milczy, chowa twarz w dłoń, łokcie opiera na kolanach.*

KORYCKI.

Hm! nieporządek!... lubię... lubię!... Całuję rączki!

ALBINA *milczy.*

KORYCKI

stoi chwilę niezdecydowany, zamierza odłożyć kapelusz, chowa do kieszeni palta.

Pani.. Albina... te.. Alfred niby...

ALBINA *milczy.*

KORYCKI *postępuje na przód.*

To Alfred chyba znowu...

ALBINA *milczy.*

KORYCKI.

Dziwne rzeczy! lubię, lubię; możeby się zabrać...

ALBINA *wybuchła w głośnie, spazmatyczne łkanie.*

KORYCKI

idzie o krok na przód, potem cofa się; chowa kapelusz do kieszeni.

— Proszę pani... pani Albino...

Poprawia cwikier, zdejmuje i nasadza go.

Tak płakać!...

ALBINA.

O! o! taka moja dola! Świat mi obmierzył! ani jednej duszy życzliwej!

KORYCKI *chwycił się za serce.*

ALBINA.

Czas, by to nędzne życie zakończyć! dość tej tortury! Ani jednego człowieka dobrego, któryby poradził, uspokoił! Trzeba skończyć! oh! jak mi w oczach ciemno! zawrót! serce pęka.

Opada wstecz, udając zemdlenie.

KORYCKI *wyjmując kapelusz, zapycha go gwałtownie do kieszeni piersiowej, biegnie do komody.*

ALBINA *wypadając z tonu.*

Panie Korycki! Zaczekaj pan!

Opada wstecz.

KORYCKI *bierze z komody szklankę wody — potyka się na białźnie, usuwa ją nerwowo.*

ALBINA.

Wody!...

KORYCKI *podając jedną ręką wodę, nachyla się nad jej głową, wciąga woń włosów, poprawia cwikier.*

ALBINA *pije.*

Dziękuję... ach!... dziękuję!...

KORYCKI *trzyma szklankę w ręku.*

ALBINA *wstaje nagle.*

Czy pan wie, że on trzyma sobie jakąś z teatru? I proszę pana, mieć żonę młodą, zdrową, tak zostawić ją na pastwę! Inna byłaby do tego czasu już dawno... Ile jest takich żon, proszę pana, »ty sobie, ja sobie«. A co do licha!... muszę się nareszcie zbuntować!

KORYCKI.

Ach... te... pani Albino...

Odkłada szklankę, wyjmuje kapelusz i wtyka go do drugiej kieszeni.

Widzę, że teraz pani przekonała się... Jestem staceczny... jak raz kogo... to się nie zapomina! Bo, że Alfred... tyndyryndy... to chyba jasne!

ALBINA *z rozpaczą.*

Jasne! jasne! on może uciec odemnie i od dziecka! Ratuj pan biedną kobietę, pan mężczyzna!

KORYCKI *zagalopowawszy się.*

Ach! pani! ja zawsze jeszcze, ciągle! z całej duszy! mężczyzna... *Kładzie kapelusz na ziemię, klęka.* Pani! *Drżącym głosem.* Lepiej później, niż nigdy!... Rozwód możnaby jeszcze... *Pauza.*

ALBINA

wstaje szybko, idzie ku oknu ; obrócona twarzą do okna, mówi.

Pan musi mi Alfreda wyszukać; poprosić go, niech tu przyjdzie; nic mu nie powiem; pan nasz przyjaciel.

KORYCKI *siada apatycznie na sofę.*

ALBINA

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Alfreda całą noc nie było. Boję się. Czy pan nie widział go gdzie?

Odwraca się ostrożnie; widząc, że on siedzi, zbliża się ku niemu.

Pan nie widział go gdzie?

KORYCKI *milczy.*

ALBINA

No... bo to przecież łatwo... schodzicie się razem...

KORYCKI *milczy.*

ALBINA *niecierpliwie.*

I pan spotkał go gdzie.. z pewnością!.. Co?..

KORYCKI *milczy.*

ALBINA *porywczo.*

No gadaj pan! Zamurowało pana! Co?

KORYCKI *zimno.*

Przed chwilą właśnie rozmawiałem z nim w kawiarni pod czerwoną dewizą. Uważałem po nim, że nie spał w nocy.

ALBINA *idzie szybko ku szafie, bierze paletko, kapelusz.*

5*

KORYCKI *uprzedzając ją.*

Muszę pożegnać...

ALBINA.

No... no...

KORYCKI.

Alfred wyszedł już stamtąd.

ALBINA.

Pan coś zmyśla! I ładnie to? I dlaczego to? Ej! Korycio! *Głaska go.* Ja pana ślicznie proszę, ślicznie proszę, pójdź pan za nim i przyprowadź pan go!

KORYCKI *tajając.*

Dla takiej głaskającej rączki można zrobić dużo...

ALBINA *głaska go obiema rękami.*

No... pójdzie pan, prawda! Pan wie, gdzie on jest! bo onby może mnie nie posłuchał, albo schował się... Pójdzie pan!

KORYCKI.

Pójdę! pójdę. *Całuje ją w rękę.* Przyprowadzę zbiega!

ALBINA.

Aż tu, do domu! na próg! dobrze!

KORYCKI.

Dokąd pani rozkaże...

ALBINA.

No... idźiesz pan!

Prowadzi go pod ramię do drzwi.

KORYCKI *całuje ją w rękę. Z westchnieniem.*
Więc znowu... do widzenia!

ALBINA.

Do widzenia!

SCENA V.

ALBINA — ALFRED.

ALBINA

chodzi wolno po pokoju, uderza się w czoło, poprawia włosy; wysuwa szufladę komody, wyciąga papiery, przetrzuca skwapliwie. Pod nosem.

Dokumenty jego wszystkie! Jest i trochę przeoczonych szpargałów!...

Zwija dokumenty, trzyma w ręku, zastanawia się.

Aha!

Biegnie do łóżka, podnosi koldrę i pieścieradło, chowa do siennika; przyprowadza łóżko do porządku; idzie ku komodzie, bierze resztę „szpargałów“, chwytą pudełeczko zapalek, zapala papiery... zdmuchuje płomień i gasi ręką.

Może mu co zapłaca!...

Wrzuca je do komody, staje koło okna. Pauza. Spostrzega wracającego Alfreda, biegnie do półki, bierze z niej książkę, rozkłada na stole, siada, podpira się i czyta.

ALFRED *wchodzi. Błady, niewyspany, oczy podkrążone, usta spieczone. Patrzy na Albinę z boku, pewny siebie rozbiera się. Wyjmuje niedbale papierosa, zapala go i siada na sofie, naprzeciw Albiny.*

ALBINA *podnosi głowę, patrzy nań.*

ALFRED *puszcza kółeczka dymu przed siebie.*

ALBINA *wstaje, wogardlinie.*

Pan! przyszedł sobie jak do karczmy i émi papie-rosa! *Z nagłą złością.* Czeka! dzisiaj na mnie kolej! Dam ci nauczkę! *Idzie ku drzwiom, zamyka je, chowa klucz.* Żebyś nie uciekł!

ALFRED *obserwował to z wkrastającym zdziwieniem.*

ALBINA

wraca ku niemu, staje przed sofą, podpiera boki i cedzi ewolna przez zęby.

Ty... łotrze! ty... szubrawcze! ty... szubieniczniku! *Zapala się stopniowo.* Wywalał się tam po mieście... z kochanką! teraz raczył do domu przyjść i puszcza mi dym... pod nos! Ty psie! Ty psie! *Z pasyą.* Tegoś wart! *Kopie go.* Potem... idź! poskarz się swojej utrzymance!

ALFRED

głosem spokojnym, w którym drży podniecenie.

Albino, zapanuj nad sobą! Wczorajsza awantura dobiła mię i tak! Czuję, że wczoraj dusza moja porysowała się. Mogę ci dzisiaj jedynie odpowiadać!

ALBINA.

Aha! Zmęczył się! biedak! nie wyspany! O! jaki wymięty! *Z rozkoszą.* Dziś za wszystko ci zapłacę! dziś podziękuję ci za wszystko! Myślisz może, że będę się pytała, gdzie się włóczyłeś? Pal cię licho! Pokażę ci, że i żona ma swoje prawa! Że tylko do czasu dzban wodę nosi!

ALFRED.

Powiadam, że będę jedynie odpierał twoje zapędy. Mogę ci atoli dla podniecenia twego animuszu dodać, że tej nocy napisałem dużo, tak dużo, że straciłem ogień dla szerszej dysputy z tobą... i jestem zmęczony!

ALBINA.

Ale te piśmidła... wystarczą na papiloty!

ALFRED *podniecając się.*

Może jeszcze wystarczą, aby z nich skleić, bodaj... fragment dramatu! *Z szalonym humorem, z emfazą.* Kobieto-wilkołaku! kobiecinko-harpio! kobietko-wiedzmo z Endoru!... unieśmiertelnę cię!

ALBINA *w najwyższej furii biegnie ku komodzie, chwytając talerz.*

ALFRED *biegnie za nią, chwytając ją z tyłu za rękę powyżej łokci, cisnąc je silnie.*

ALBINA

odwrócona doń plecyma, wściekle piszcząc.

Puszczaj! puszczaj! bo muszę ci teraz, zaraz koniec zrobić! Ty psie podły! podły! Puszczaj! Muszę ci łeb naznaczyć!

ALFRED.

Mówisz... zaznaczyć. A jakżeż to zamierzasz uskutecznić? Tak... z profilu, czy en face?

ALBINA *w szale.*

Puszczaj! bydlaku! Ludzie! ludzie! ratujcie!

Usiłuje talerzem uderzyć go.

ALFRED.

Ludzkości! przybywaj! Malarzu wszelaki, »stwórczo malowanych rzeczy«! Chwytaj co widzisz! Rzeźbiarzu, kowaj grupę, której na imię... dajmy na to... walka z duchem ciemności!

ALBINA.

Ty zbóju! ty zbóju!

Kopie go w kolano.

ALFRED *uchylając się.*

Ach! jak ta wieczna noc wierzga! Czy tylko to będzie dość klasyczne? Naturalista jaki powinien się zlakomić!

ALBINA *zmęczonym głosem.*

Ta puść! ta puszczaj!

ALFRED.

Nie! archaniele gelenny! przejdźmy się trochę! Zefiry przechadzki uśmierzą twe lice!

Prowadzi ją naokoło pokoju, ona szarpie się.

O tak! Może to ci dobrze zrobi! Zużycie siły mięśniowej w chodzie, będzie mniejsze, niżli przy ekspansyi podrygów. O tak!

ALBINA *zmęczona.*

Nie ciśnij tak za ramię! Ta zostaw! puść!

ALFRED.

Duchu nocy! Złóż berło! O tu na łóżko rzuć ten symbol, który miał przynieść mrok na cerebry moje i który miał stygmat przycisnąć do zwierciadła mej duszy.

ALBINA.

Puść! i nie ciśnij! Rzucę talerz!

ALFRED *zmieniając ton.*

No widzisz, przekonałem cię, że tą drogą niczego nie dopniesz! Teraz uwolnię cię i proszę! i przestrzegam! Opamiętaj się!

ALBINA *schylona, przykleknawszy na jedno kolano, położyła talerz na podłodze.*

Pauza.

ALBINA.

Aha! czekaj!

Usiłuje pochwycić talerz.

ALFRED

który stał w niepewnej, wyczekującej pozycji, z tyłu, za nią.

Rebelia! sięga po buławę!

Chwyta ją powtórnie za ramiona.

ALBINA.

No... no... to już puść! Zabierz talerz!

ALFRED

odbiera talerz, bije go z furją o ziemię. Obraca Albineę twarzą do siebie. Groźnie.

Jeśli się nie pohamujesz, zaknebluję usta, zwiążę sznurem, którego się używa do drzewa i tak położę tu na sofie. *Prowadzi ją i kładzie.* Potem wezmę garnuszek i tak, z lekka, posuwisto będę polewał strumyczkiem zimnej wody!!! Słyszysz?!

ALBINA *milczy.*

ALFRED *straszonym krzykiem.*

Słyszysz! Teraz puszczam!

Patrzy na nią bacznie. Oddala się.

ALBINA *po pauzie, wstaje, idzie z razu zwolna, potem podbiega do komody.*

ALFRED *chwyta ją w pól, z tyłu.*
Hola! tam jest arsenal!
Prowadzi ją ku sofie. Sadza ją.
Klucz!

ALBINA *milczy.*

ALFRED.

Klucz!!

ALBINA *nie rusza się, milczy.*

ALFRED.

Klucz!!!

ALBINA *wstaje, idzie ku szafie, bierze palto i kapelusz Alfreda, kładzie koło siebie na sofie i siada. Wyjmuje klucz z kieszeni — daje Alfredowi.*

ALFRED *otwiera drzwi do kuchni, ociera skroń.*

ALBINA *wstaje, siada na łóżko, przechodzi pomalu w coraz głośniejszy płacz.*

ALFRED

chodzi, przypatruje się jej, zbliża się.

ALBINA *łka donośniej.*

ALFRED

przechadza się, zbliża się znów do niej, targa wąsa.

Albino! *Pausa.* Albino nie płacz! Nagle. *Bardzo wzruszony.* Albino moje dziecko! Ty jesteś nieszczęśliwą sama dla siebie! nieszczęśliwą, nienawidząc to we mnie, co jest moją największą wartością. Tego nie zdepcesz! To wstaje z popiołów! To darmo! Nie płacz! *Do siebie.* Nie... nie! To wzruszenie prowadziło mię zawsze

źle! *Do Albiny.* Ty byś mię teraz znowu kopnęła, gdybym się zbliżył!

Pauza.

ALBINA.

Fredku... *Z cicha.*

ALFRED *do siebie.*

Oho! zmiana! Objaw niebezpieczny, ale ciekawy!

Zbliża się do Albiny.

Proszę...

ALBINA.

Fredku...

ALFRED *po chwili.*

Gdzie dziecko? Na przechadzce, ze służącą?

ALBINA.

Tak

ALFRED.

Intonacja minorowa. Czy to zmiana zasadnicza, czy też próbna?

ALBINA.

Fredku...

ALFRED.

No, no...

ALBINA.

Widzisz, człowiek... tak... z rozpaczy... Chodzisz, gdzieś... tam... a ja boję się ciebie... jestem zazdrosna.

ALFRED *siada na sofie.*

ALBINA *wstaje z wolna, przysiadła na sofie.*

ALFRED *usuwa się dyskretnie.*

ALBINA *przybliża się, podnosi rękę.*

ALFRED *uchyla się mimowolnie.*

ALBINA *glaskając go.*

Gniewasz się?

ALFRED.

Ani się gniewam, ani się nie gniewam.

ALBINA.

Jeśli może chcesz pisać... nie przeszkadzam ci. Zaraz będziesz miał wszystko...

Idzie do komody, bierze papier, pióro i kalamarz, układa na stole.

ALFRED

Tamta trywialna scena mogła zacząć akt drugi... a tu!.. minorowa zmiana i dalsza akcja niema drożdzy! *Do Albiny.* Ależ to nie może tak być! Czy ty naprawdę już się godzisz z mojem pisaniem?

ALBINA *z westchnieniem.*

Ha... cóż robić.

ALFRED.

Szczerze?

ALBINA.

Szczerze.

Zaciska pięści i grozi mu ukradkiem.

ALFRED.

A która szczerześć twoja jest szczerzą, ta... teraz... czy ta... przed chwileczką?

ALBINA *porywczo.*

Słuchaj ty! *Jak echo.* Słuchaj ty... nie dokuczaj!

Biorąc uległą minę. Postanawiam siebie, nie drażnić cię więcej.

ALFRED *roztwiera bezradnie ramiona.*

ALBINA.

...i to co było, chcę naprawić...

Patrzy nań ze wzgardą.

ALFRED *milczy chwilę, do siebie.*

Wiem już! Chwytam wątek, to będzie podstęp!

ALBINA.

Czy można wiedzieć... Fredku... *Z przymileniem.*
Gdzie byłeś?

ALFRED *do siebie.*

Będzie dyalog. *Do niej.* W kawiarni. Przy stoliku. Pisałem.

ALBINA.

A kto był jeszcze?

ALFRED.

Okrutnie możliwe towarzystwo. Dobre geniusze natchnienia. Wszystko to obsiadło mię i prosiło o dotrzymanie im wiary.

ALBINA.

Ej, nie żartuj! bo jestem zazdrosna! Chcę wiedzieć!

ALFRED.

Zazdrosna! Uspokój się! Umiiałbym pogodzić służbę dla nich i dla ciebie. Kiedy... ty jesteś dla tamtych... straszylem! Co? darujesz porównanie?

ALBINA.

Fredziu, Fredziu! To jest smutne, że ja nawet porozmawiać z tobą nie mogę po ludzku! ale ty się jeszcze opamiętasz? Mój drogi, pomyśl, sam, jakby to dobrze było, gdybyś ty, jak tyle innych mądrych ludzi, zajął się czemś pożyteczniejszem, realniejszem. Co? Fredziu? *Głaska go*. Od czasu do czasu pisałbyś coś...

ALFRED.

To niby do pojazdu życia zaprządz parę wołów i jechać zwolna, ale statecznie. Kiedy widzisz, abym w tej przejażdżce wytrzymał, musiałabyś skrzydełka moje przybić gwoździami do siedzeń. I patrz, co za tragedia! Wyrywam się! Wystrzępiał lotki... ty jedziesz sobie dalej, a ja zostaję na gościńcu... i nie mogę ani wlec się, ani wzlecieć.

ALBINA.

Aj ty! ty! Co mi z tego wszystkiego! Co mi po twoim talencie!

ALFRED *żywo*.

O! tak! dysputować, to rozumiem! To coś teraz powiedziała, to była nienawiść, podana przyzwoicie, bez trywialnego bombardonu! »Co mi po moim talencie«!!! Hahaha!

Śmieje się coraz przyciąglej, gwałtowniej, długo, strasznie.

ALBINA.

Fredziu! przestań! przestań!

ALFRED.

Wiesz... haha!... wiesz... hahaha!... gdybym aktorowi kazał w dramacie tak się śmiać, coby to znaczyło?

ALBINA.

Że zaszło coś wesołego, albo nieporozumienie. *Półglosem*. Znów ten dramat!

ALFRED *wstając nagle*.

Albino! podaj teraz rękę, Podaj! Ucałuję ją serdecznie! z czcią! *Całuje*. Miałaś lapsus genialności! To wszystko jest wielkiem nieporozumieniem!... Ale tegoś nie odgadła, że taki uśmiech zapowiadałby kryzys!

ALBINA.

Iii... także coś! Niby w czym! na dobre! u ciebie? Daj Boże!

ALFRED *wstrząsa się*.

ALBINA.

Może masz dreszcze! Słuchaj, połóż się! odpocznij! źle wyglądasz!

ALFRED.

A nie! nie! mam jeszcze być w redakcyi.

ALBINA.

Ja im już napiszę, że jesteś chory.

ALFRED.

Nie potrzeba. Muszę być. Zresztą przejdę się, bo mnie głowa boli.

ALBINA.

Czekaj! Otworzę okno! Może świeże powietrze dobrze ci zrobi! *Idzie do okna*.

ALFRED.

Ach tak, świeżego powietrza! Mas! mas! dajcie mi tej przenośni!

ALBINA.

A... tu jest dosyć tego. Podwórze czyste, ogród w sąsiedztwie!

ALFRED.

A... Henio nie marudził w nocy? co? nie płakał?

ALBINA.

Był trochę niespokojny i wołał: Tata. *Półgłosem.* Z nim także będzie kłopot!

ALFRED.

Co mówisz?

ALBINA.

Nic.

ALFRED.

Dziedziczny talent wprowadzania kłopotów w świat!

ALBINA.

Oj! to prawda! Bo tacy ludzie, to i sami są nieszczęśliwi... *Pokazuje mu język ukradkiem.* i drugih unieszczęśliwiają! Potem... taki »niezwykły« człowiek, choć niby robi to samo, co inni, a przecie nie to samo! Żeni się, a niby nie jest żonaty i nie pełni obowiązków, jak inni! Fredku, ty choć masz żonę, ale czem się przedewszystkiem zajmujesz? Co? Ani nie uznasz, że masz kobietę, która ani się nie stroi, ani nie kokietuje, ani nie flirtuje, choć tyle by było sposobności! Czystą masz żonę, jak kryształ! Myślą przeciw tobie nie grzeszę!



ALFRED.

I dlatego, że tak jest, uzurpujesz sobie prawo żądania odemnie wszelakiego służalstwa! *Zapala się.* I to jest źródło, z którego czerpiesz wody na potęgę swoją! Tem wznosisz się ponad wszystko, co ma we mnie cenę i siłę! Tem dzierżysz prym nad państwem mego ducha! Nieskalany karzeł depce złęgo olbrzymia! Aaach! dławii mię ta cnota!

ALBINA *wypadając z roli.*

A to wyzuty ze wstydu opryszek! A ciekawa też jestem, coby mi pan na to powiedział, gdybym... tak sobie .. trochę użyła! pobawiła się z kim! Haha! Tylko palcem skinąć! a znaleźliby się tacy, coby biegli za mną na wyścigi! To modne nawet! Mąż z kochanką, zaniechana żona z wielbicielami...

ALFRED *uderza się w czoło, zamysłła się.*

ALBINA.

...coby sobie za szczęście mieli każdy uśmiech, każde słowo! Młodość ma swoje prawa!

ALFRED *zacierając nieznacznie dłoń.*

ALBINA.

I założyłabym się, że wtedy dopiero zacząłbyś żonę szanować i jej strzedz! *Z furją.* Słuchaj! co to za jedna, ta twoja?!!!

ALFRED *z godnością i stanowczo.*

Pozostaw plotki na boku! Nawet nie odpowiadam! Rozumiesz!

ALBINA.

Ale pieniądze z nią trwonisz! ty!...

ALFRED.

Milcz! Kłamstwo!

Pauza.

ALFRED *chodząc.*

Interes dramatyczny zadzierżgnąłby się silnie! Czuję nawał! dopływ! *Do Albiny.* Pozwolę sobie wątpić, aby... i przyjaciel domu wytrzymał długo u nas! spłoszyłby się wkrótce. »Zaniedbywana« żona nie miałaby stałej pociechy...

Patrzy na nią bacznie.

ALBINA.

Zobaczylibyśmy!

ALFRED *po chwili przypominania sobie czegoś.*

»Niechajże szatan się zjawi i niech uwikła w sieć swojej pokusy tę, co mi ongiś była mocą szczęścia, a dziś mnie dusi swą enotą! Wówczas jej krzyknę: podłaś« i tak dalej. Tak pisze Kasprowicz...

ALBINA.

Co tam mruczysz...

ALFRED *rozbawiony.*

Dajmy temu pokój! Wiesz! A to zabawne! Dowiedziałem się dopiero wczoraj, po kilku kolejkach... w kawiarni, od jednego z moich kolegów, że Niedzielskiego Zygmunta — słodkiego pana Zygmunia znasz? *Patrzy na nią z uboczna.* ...ugrzecznionego, karmelkowego... który bezustannie mówi, pytając się sam i odpowiadając sobie.

ALBINA *odwraca twarz z lekkim uśmiechem.*

ALFRED.

No... widzisz... przypomnisz sobie!

ALBINA.

Haha! Było się młodym! i szczęśliwym! choć głupim!

ALFRED.

Niesłuchanie grzecznie opowiadał mi, jak za studenckich czasów odprowadzał cię... do szkoły! od dawna już wybiera się z wizytą...

ALBINA

rozglądając się po pokoju.

Jakby teraz tę bryndzę moją zobaczył! Haha!

ALFRED *swobodnie.*

Przepysznie gawędziliśmy... Zdradzę ci tajemnicę. Oni czekają na mnie...

ALBINA.

Kto taki?

ALFRED.

Lubicz, zamglony... pan Trybulak, artysta dramatyczny.

ALBINA *zżyma się.*

ALFRED.

...no i pan Niedzielski. Zaproszę ich, co?...

ALBINA.

Z kawiarni do domu ich sprowadza! Nie! to już świat się kończy!

ALFRED.

Czy wolisz, abym poszedł do nich?

ALBINA.

Siedź w domu! Już cię niesie?!

ALFRED.

Albino! Ta droga fatalna! Sama już wiesz o tem!

ALBINA.

Taże człowieku!... popatrz się! Co Niedzielski pomyśli sobie? Nie! nie! nie chcę! Brudna bielizna! jak w stajni!

ALFRED.

Lepiej będzie, że tu przyjdą, niż żebym się tam znów zabrał! Oni będą się i tak niecierpliwić! Przyrzekłem za kwadrans wstąpić... po drodze do redakcyi... zobaczyć się z nimi... Prosilili mnie!

Słychać w kuchni chrząkanie.

SCENA VI.

ALFRED — ALBINA — LUBICZ.

ALFRED.

Ktoś przyszedł...

Otwiera drzwi do kuchni.

Lubicz! Pewnie po mnie! Chodźże! Wejdz!

Stojąc w drzwiach.

Nie chcesz... boisz się... nie bądź śmieszny! Albina będzie zła? Ależ dzieciństwo! Prawda Albinko? to mu się tylko tak majaczy! co?

ALBINA.

Niunek! no, no... nie rób ceremonii!

ALFRED *wszedł do kuchni, prowadzi go pod ramię.*

LUBICZ

*podpity, kołnierzyk załamany, krawatka na kamizelce,
wąsy mokre, obwisłe; trochę blady.*

Albinko... jak... się... masz... Całuję rączki. Ja nic nie winien! Doprawdy. Oni kazali mi zapytać się, czy mają cekać. Daj mi skłaneckę wody; zjadłem coś słodkiego i chce mi się pić. Cłowiek chciał prosto do domu pójść! wyspać się. Kaduk jakiś... niedał... \

ALBINA *podając mu wodę.*

Napij się po tem słodkiem...

LUBICZ.

Aa... całuję rączki... jakaś ty dobra!

*Chce z gracyą wziąć szklankę, trąca rękę Albiny, wylewa
nieco wody.*

Przeprasam... pośliznąłem się. W kalosach, to tak niewygodnie...

ALBINA.

Czy też może ta słodycz działa tak zabójczo?

LUBICZ.

Ja im mówiłem, prosiłem się, nie lubię ratafii! Ale gdzie! Oni na złość! *Pije.* Nie lubię te dwie rzeczy: ratafii i pierożków ze syrem.. to moja antypatya... nie jadłbym choćby mi nawet Zosia kazała. Chociaż... nie!... zjadłbym!... alebym nie wytsymał! O! Zosiu! Zosiu! poco oni mnie zmusali do tej ratafii! A zresztą dobrze im tak! Pokazałem im, że ze mną sprawa nie łatwa!

ALFRED *do Albiny.*

Wrócę tu z nimi niebawem...

ALBINA.

Fredku! proszę cię jeszcze raz! Fredku!

ALFRED.

Poco nam szukać zabaw poza domem! Możemy mieć igraszkę u siebie.

Wychodzi.

SCENA VII.

ALBINA — LUBICZ.

Pauza.

ALBINA.

Rozbierz się i siadaj.

Porządkuje w pokoju, poprawia włosy.

LUBICZ.

Tu mało powietrza... *Znękanym głosem.*

ALBINA.

Gdzieście to byli? kiedy spotkałeś się z Alfredem?
Chowa bieliznę do kufra.

LUBICZ.

Przypadkowo... wis... ja nic nie winien! Muszę się jesse trosku przejść, ale ja zaraz wrócę... naprawdę! nie gniewaj się...

ALBINA.

Ale, ale. Siadajże. Napij się jeszcze wody, to ci do-
brze zrobi. *Daje mu wody.*

LUBICZ.

Tak człowieka piece. Każą pić na siłę... ja jestem towarzyski... do czego to wszystko! a tyle razy zazykałem się... nie! nie dadzą! To tseba mieć głowę do tego...

ALBINA.

A Alfred...

LUBICZ.

On potrafi więcej, ale także kiepski.

ALBINA.

Kto z wami był? Kobiety jakiej nie było?

LUBICZ.

Byli... jakiś z teatru... i jakiś... z gazety...

ALBINA.

Kiedy spotkaliście się?

LUBICZ.

Ja nie pamiętam. Dość wcześnie.

ALBINA.

Nie bój się. Poco masz kłamać? Kobiety jakiej nie było?

LUBICZ.

Wis... ja jestem taki zmęczony, ze... nawet nie potrafię kłamać. Kobity nie było.

ALBINA.

Czy Niedzielski opowiadał co?

LUBICZ.

A... coś... tam... jak on chodził do szkoły i jak... ty chodziłaś do szkoły... to...

ALBINA.

No... to co?!

LUBICZ.

To... chodziliście razem... liściki, kwiaty; wis po tej wodzie, jestem jak nowonarodzony aniołeczek... doskonale zrobiła...

ALBINA.

A co dalej?... no?

LUBICZ.

Jużbym za zadne skarby nie wziął do ust spirytusu...

ALBINA.

No... a co Alfred?

LUBICZ.

A, on także nie lubi za dużo!

ALBINA.

Ohoho! ty nie jesteś taki, jak się wydajesz!

LUBICZ.

Tylko... co do Niedzielskiego... jak on Alfredowi to opowiadał, to Alfred bardzo się długo namyślił i nie nie gadał..

ALBINA.

Ej! Niunek, Niunek! Ty myślisz, że ja dla niego jestem niedobra. Proszę ciebie. Powiedz sam, zamiast chodzić gdzieś... Bóg wie!... niech tu siedzi! pisze sobie! I ty przychodź! pogawędzimy sobie zawsze... kolacyjkę zrobię dobrą... pierożki...

LUBICZ.

Tylko bez syra! Taka mi się teraz wydajesz... naprawdę... jak Zosia... łagodna... O! ale ona zawsze będzie taka!

ALBINA.

Z tobą się niedogada!

SCENA VIII.

ALBINA — LUBICZ — TRYBULAK — NIEDZIELSKI — ALFRED.

ALFRED

wchodzi z Niedzielskim i Trybulakiem przedstawiając Albinie Niedzielskiego.

Sądzę, że poznasz bez wstępu dawną znajomość. Co? Zmienił się bardzo? Chciał koniecznie ogolić się jeszcze i odświeżyć. Elegant, co? Odświeży się i tak... w pamięci.

NIEDZIELSKI

ruchliwy, żywo giestykujący, blondyn; bokobrody; mówi uśmiechając się słodko; pauzy dykcji wypełnia modulacją samogłoski eee.

Całuję rączki! całuję rączki!

Rozradowany.

Ha! jaka zmiana!?!... Na dobre! na dobre! Tysiąc-krotnie prosimy o przebaczenie za napad. Przebaczone? Przebaczone! Przebaczone!

ALFRED.

A tu pan Faustyn Trybulak, artysta dramatyczny.

TRYBULAK

*starszy aktor; dziubaty; nos in pontificalibus, koło niego
niepokaźna brodawka; dawno nie golony; zachrypnięty;
peleryna, kalosze z cholewkami, czapka ze skórzanym
daszkiem. Do Albiny.*

Do usług dobrodziki!

Podaje rękę.

ALBINA *odwraca się nieznaczenie.*

TRYBULAK *prostoduszenie.*

Koniecznie nas tu dobrodziej wyciągnął. A mówi-
łem wam ojciec, nie wypada! Ta gdzie! ta kto widział!

Rozbiera się.

NIEDZIELSKI *do Albiny.*

Miluchny tu kącik u państwa. Niema ekstrawagan-
cyj...

ALFRED.

Proszę panów usiąść, gdzie komu wypadnie!
Patrzy na Albinę i Niedzielskiego rozmawiających ze sobą.

TRYBULAK *do Alfreda.*

No, ojciec! dawajcie papierosy!

LUBICZ, *który siedział w kącie sofy.*

Zaskodzi na chryпки!

TRYBULAK *żywo, do Lubicza.*

Eee! ojciec! co wy wiecie! już się przetarło trochę!
miałem dobrodziejku, gardło zawałone! Ta gdzie! ta
kto widział! fury flegmy!

LUBICZ

Obrzydliwie pan gada!

TRYBULAK.

Ojciec! mówię wam! było gorzej! że ni tudy, ni siudy!

LUBICZ.

Jaki ojciec! co za ojciec! kaduk!...

TRYBULAK.

Obabicie się, obabicie! potomstwo obsiedzie! Lepiej dobrodzieju, dajcie ognia!

LUBICZ *zły*.

Kaduk! Dziś, jak się jest narzeczonym, to żyć nie dadzą, jak gawrony!

NIEDZIELSKI

z zapalką w ręku; skwapliwie do Trybulaka.

Proszę najuprzejmiej łaskawego pana! Proszę! Papierosik smakuje? co? Oczywiście! *Do Albiny*. Czy możemy poprosić o najłaskawsze zezwolenie i dla nas?

Wskazuje gościem siebie i Alfreda.

Lekki papieros! Pozwolono? *Ucieszony*. Pozwolono! Pozwolono! *Podaje Alfredowi, zapalają.*

ALBINA

która w ciągu tej sceny wszystko bacznie obserwowała.

To panowie byliście wszyscy razem?

NIEDZIELSKI.

Czy razem? Najzupełniej! Najzupełniej!

Rozmawia półgłosem z Albina, wertując album z fotografiami.

LUBICZ.

Niech ich kaduk!... trąbili jak wieloryby! A pan Trybuson! No!

TRYBULAK *do Lubicza.*

Ojcie kochany! Przyrównajcie nas chyba do pipy! Na trybuszon jestem za ciężki! Ta gdzie! ta kto widział!

LUBICZ.

To najlepiej do becki!

ALBINA i NIEDZIELSKI *wstają z wolna i rozmawiają swobodnie przy oknie.*

TRYBULAK.

Panie Lubicz! ojcie Lubiczu! Chodźcie!

Do Alfreda.

Dobrodzieju, ino popatrzcie na niego!

LUBICZ.

Co znowu? Kaduk!... No, co?

TRYBULAK *zbliża się do sofy.*

Taże mieliście do mnie jakiś interes. Cóżście zaczęli tam w kawiarni mamrotać o jakimś minimum? *Do Alfreda.* Może co narai, bo chuda fara! Ojcie! papierosa! *Do Lubicza.* Macie gadać, gadajcie! Może co poradzimy! Aktor panie, to ma oko na wszystko, jak ryś! Co za interes? Zarobicie minimum dwieście?...

ALFRED *uśmiecha się.*

LUBICZ.

Et! bagatela! Zartowałem! *Wstaje, zły, mówi fistułką.* Kaduk wściekły! Kompromituje cęka!

Odchodzi ku komodzie.

TRYBULAK *do Alfreda.*

Pokraka! Sama niewie, czego chce! Myślałem, że z boku się co obkroi. *Szeptem.* Bo to panie ostatni raz, pod dyabelkiem — czemu tam nie chodzicie? — przetrząłem świat! w krótkiego... Odbijam się — boże narodzenie w ręce, a tam ferbel! *Z rozmachem.* Bryznięłem, co miałem! A! czy kto słyszał! Dobrodzieju... nie piszcie nic bezemnie! Mówię wam! Spektakl zrobi kasę! Podziękujecie mi!

ALFRED *patrząc na Albinę i Niedzielskiego.*

Proszę pana — nie mi się rwała. Miałem za ledwie pierwszą scenę drugiego aktu... ale czart już je gmatwa! gmatwa! labirynt scen! przetrawiam już w sobie! Widzę je! One we mnie wzbierają, kotłują — i buchną jak Niagara!

TRYBULAK *z entuzjazmem.*

A co? Ojciec! ojciec! mówiłem! M ó j pomysł! M ó j pomysł! Jeden czarny charakter! Straszny! Dziki! Czart! Tak jest czart! To jest teatr! Dobrodzieju! wy to zaraz podłapaliście!

ALFRED.

No, niezupełnie!

TRYBULAK.

Co wam taki stary wyga powie, to jest już pół roboty! Tylko pióro w garść i... walić! Ja tam nie mam czasu na to! Muszę się jeszcze odbić! Boże narodzenie i... *Rozpaczliwie.* rypnąć! Na!

ALFRED *zwracając się do Albiny.*

Darujesz... Mówiłem ci, że mam na chwilę zajrzeć do redakcyi. Zaraz wracam! Lubicz i pan Niedzielski poczekają, co? *Zbiera się.*

NIEDZIELSKI *do Albiny.*

Jeśli tylko nie nudzę Pani! Nie? Nie! No to dobrze!
No to ślicznie! No to pięknie! *Do Alfreda.* Pan wraca
niebawem? Ależ zgoda! Rozerwiemy panią. *Do Lubicza.*
Prawda, panie Lubicz? Tak. Tak! prawda!

LUBICZ.

Fredku... nie siedź długo!

ALBINA.

Pamiętaj, wracaj zaraz.

TRYBULAK *zabierając się.*

Ano... *Do Albiny.* Sługa dobrodziki! *Do Lubicza.*
Hospodynie Lubicz, bądźcie zdrowi.

Wychodzi z Alfredem.

LUBICZ.

Złam kark!

NIEDZIELSKI *za odchodzącymi, w lansadach.*

Pa! Pa! Paaa!

SCENA IX.

ALBINA — NIEDZIELSKI — LUBICZ.

LUBICZ

Wis... Albinko, że teraz... znowu... po tej wodzie,
tak mi jakoś... Strasznie oziębilem się we środku...
jescem się z tym Trybulakiem niepotsebnie zirytowałam!

ALBINA.

Siadaj! Ogrzej się!

NIEDZIELSKI.

Laskawy pan oziębił się *Smętnie*. A tak! tak! Woda oziębia! Zwłaszcza rano.

LUBICZ *całuje* Niedzielskiego w usta, serdecznie, siada na sofie.

ALBINA i NIEDZIELSKI *siadają koło łóżka, na krzesłach.*

NIEDZIELSKI.

I patrzę! i patrzę! I proszę pani! Jak czas mija szybko. Co? Za szybko! Piękne są te szkolne czasy...

ALBINA.

At!

NIEDZIELSKI.

W małżeństwie czuje się pani szczęśliwą? No! tak! Mężulek, przyszła sława... Byłem w Paryżu...

Uśmiecha się, jabby patrzył na ulicę Paryża.

Bulwary!... ruch!... febra!...

Kiwa głową, tajemniczo.

Przepuściłem wszystko!...

Chwytając się z rozpaczą za głowę.

Czy można tam głowę stracić? Z siłą. Można! można!... Nie było za co wracać...

Oglądnął się, czy kto nie podsłuchuje, szeptem.

Grałem na fortepianie!...

Chowa głowę w obie dłonie.

Gdzie?...

Giest okrutnej rezygnacji.

W kawiarence!... *Śmieje się.* A cóż robić? Czy pisałem co o tem? Fejletoniki! At! nudne! Niedzielski ma

pełno pomysłów dobrych! A czy korzysta?... Łaskawa pani!... czasu niema! Żenię się... kiedy? no, niestety...

ALBINA.

Kiedy spotkałeś pan Alfreda w nocy?

NIEDZIELSKI.

Do usług! Zaraz! W tej chwili. Błyskawicznie! Eeeee!... o trzeciej...

ALBINA.

Co Alfred tam robił? Był z kim?

NIEDZIELSKI.

Proszę! proszę najuprzejmiej! Pisał! Długo? Dwie godziny może...

ALBINA.

Było jakie towarzystwo? *Jakby do siebie.* Kobiety?...

NIEDZIELSKI.

Kobiety? Czy dosłyszałem? Dosłyszałem! dosłyszałem! Dziennikarze mają uszko! Aha... kto był?... Pan Pan Trybulak, moja miłość nawinęła się tam także, do usług, ajakże!

Wstaje, kłania się głęboko z gracyą.

Potem pan Lubicz...

Podchodzi ku niemu.

Ach!

Z troską.

Czy mu nie będzie za zimno?...

Rezolutnie.

Ee! nie!... Pa... przepraszam! Chciałem siebie na końcu wymienić. Dlaczego? Skromność? Skromność!



ALBINA.

A... z kobiet...

NIEDZIELSKI.

Najgrzeczniej upewniam, nikogo! Aaaa!... *Z żywo-
ścią. Leciuteńka zazdrość?... Wytłumaczona! wytłuma-
czona! Młode stadko!... Wyjeżdżam za kilka tygodni...
Ale z kim? Już z żoną!*

LUBICZ, *który okazywał coraz więcej niespokojności, wstaje
raptem i obijając się o szafę, o ścianę, o drzwi, macając
je rękoma, wylatuje.*

NIEDZIELSKI *za Lubiczem.*

Ach... łaskawy panie... czy ta nieszczęsna woda?..
Noo... tak! *Do Albiny.* Czy niedyspozycya mała? Nie-
chybnie! Proszę być spokojną!

ALBINA.

Dogodził sobie! Panowie, widać... wytrzymalsi!..

NIEDZIELSKI.

Proszę bowiem łaskawie zważyć. My żyjemy nocą.
Czy to higieniczne? Ależ najmniejsze!

ALBINA.

Gdzie poszliście panowie z kawiarni?

NIEDZIELSKI.

Do drugiej.

SCENA X.

ALFRED — ALBINA — NIEDZIELSKI — LUBICZ.

ALFRED *wchodzi szybko, szuka oczyma Lubicza. Pauza.*

NIEDZIELSKI.

A! już tu?... Szuka pan Lubicza?

ALBINA.

Musiał wylecieć.

ALFRED *patrzy na nich przeniklinwie.*

NIEDZIELSKI.

Pan Lubicz... lekko cierpiący... możliwe...

ALBINA.

Spił się jak Bela!

ALFRED.

Więc... *Pomału.* Radziłaś mu pójść. Uważam to za bardzo słuszne, zgrabne i przewidujące!

LUBICZ *wchodzi chwiejnie, strasznie blady, ociera chustką nosy, krawatkę, ręce; nie zważa na obecnych, stęka, idzie ku sofie.*

NIEDZIELSKI *prowadzi go za ramię.*

LUBICZ *przystaje, chce go ucałować.*

NIEDZIELSKI *uchyla się, zasłania nos ręką, ścisną rękę Lubicza.*

LUBICZ *siedząc na sofie, wyciąga ramiona, by Niedzielskiego enów ucałować.*

ALBINA.

Położ się Niunku! *Trochę ironicznie.* Może ci dać jaśka?

NIEDZIELSKI.

Prosimy właśnie uprzejmie byś pan był łaskaw, przyjąć jasieczek. Dlaczego? Przewybornie sypia się na nim.

LUBICZ.

A... co... Albinka?...

ALBINA *podaje mu poduszczykę.*

LUBICZ *kładzie się.*

NIEDZIELSKI.

Oby sen pokrzepił!

LUBICZ *stękaając, do Albiny.*

Nie będziesz zła?

ALBINA.

Dlaczego ona z Heniem nie wraca? Czas na obiad nastawić, a ich nie widać! *Do Alfreda.* Chcesz dziś do mięsa sosu chrzanowego? *Wychodzi.*

NIEDZIELSKI.

Zgadza się! zgadza się!

ALBINA *wchodząc.*

Masz! zapalek znów niema! Trzebaby mieć fabrykę!

NIEDZIELSKI.

Ależ służę! służę! Ośmielam się pochlubić, że pysznie w piecu palę. Skąd to umiem? Kawaler, w dodatku, dziennikarz.. powinien umieć wszystko! Pani pozwoli? Pozwoli! Pozwoli!

ALBINA.

Aa... korci pana, pal pan! pal pan!

Wychodzi do kuchni, za nią Niedzielski.

NIEDZIELSKI

w lansadach, za Albiną, uderza o krzesło. Obraca się.
Ach! przepraszam!

SCENA XI.

ALFRED — LUBICZ.

ALFRED

chodzi nerwowo po pokoju, zbliża się do Lubicza, potem idzie na palcach pod drzwi kuchni i nasłuchuje; wraca do Lubicza, szarpie go za ramię.

Niunek! Wstawaj! wstawaj!...

LUBICZ *majacząc przez sen.*

Ta no! Kaduk jakiś! Kanalja! Ja mu dam parasol!

ALFRED.

Wstań! Wstań!

LUBICZ *otwiera oczy.*

To ty Fredku?... Wis... coś jakby mi cały środek odjęło...

ALFRED.

Nie mówili nic o wspomnieniach?

LUBICZ *chcąc się go pozbyć.*

Mówili.

ALFRED.

A o naszym małżeństwie?

LUBICZ

Także.

ALFRED.

Czy Niedzielski mówił tak, byś ty nie słyszał?

LUBICZ.

Aha!

ALFRED.

Podśluchałeś? Co?

LUBICZ.

Nie słyszałem.

ALFRED.

A skądże wiesz, że mówili o wspomnieniach, o naszym małżeństwie?

LUBICZ.

A! daj mi spokój!

Przenraca się na drugą stronę. Stęka.

ALFRED *posuwa się ku drzwiom.*

Nic nie słyhać. *Idzie do Lubicza.* Ale tyle mi chyba powiesz, czy Niedzielski przy tobie zniżył głos?

LUBICZ *milczy.*

ALFRED.

A gdzie rozmawiali?

LUBICZ *półgłosem.*

Koło okna.

ALFRED.

Pewne oddalenie... Nie uważałeś, czy Albina westchnęła?

LUBICZ.

To, to!

ALFRED.

Nie słyzałaś bodaj jednego słowa, z którego możaby co wysnuć?

LUBICZ *odwraca się ku niemu, zły i mówi płacziwie.*

No, to ci już powiem, ale potem mam spać, jak borsuk! Słyszałem, jak mówił o zazdrości i o szczęściu.

ALFRED.

Może ją uspokajał, że nie będę zazdrosny!

LUBICZ.

Aha!... Ta daj mi święty spokój!

ALFRED.

I o szczęściu mówił... o tem, które jej dać może ta pomadkowana lala?... *Zastanawia się.* To już akt trzeci! Ostatnią scenę drugiego dam na rozstajnych drogach cnoty i występku! Widzę... którądy pójdzie! Więc niech raz nareszcie zmartwieje złośliwa moc, gniotąca mnie jak obroża! Brud! brud! Podła! Cała plugawa!... Ale jeśli on cię ogarnie?

Bierze pióro.

...to co ci wówczas powie twój mąż i jak ci to powie?... *Z bólem.* Biada mi! i biada tobie! *Pisze.* A je-dnak... *Wstaje. Ciśnie skronie.* Akcya tak rwie...

Całą siłą piersi.

..i tak .. stać... się... musi!

Chwyta za pióro.

ZASŁONA

AKT TRZECI.

Scena jak w I i II akcie, tylko: nad komodą reprodukcya obrazu Stucka „die Sphinx“.

SCENA I.

ALFRED — TRYBULAK.

TRYBULAK *siedzi na sofie paląc papierosa.*

ALFRED

chodzi wzdłuż pokoju — po chwili.

Z tych kilku scen, które panu wczoraj czytałem przelotnie, nie obejmie pan całości. Posłuchaj pan uważnie treści. Młody poeta, ożeniony w fatalnych auspicyach...

TRYBULAK.

Ojczy! tylko bez filozofii! Albo piszecie dla wyższej inteligencji, albo dla teatru! Ta kto widział!

ALFRED.

Nie przerywaj pan ...

TRYBULAK.

Daj Boże zdrowie! Taże wy ojcze rozpędzicie się ditko wie dokąd i ja nie mam zawołać: stój! Albo Trybulak radzi albo nie radzi!

Odrzuca papierosa.

ALFRED.

To trudno! Sposobu pojmowania dzieł scenicznych nie zmienię dla pana!

TRYBULAK.

To sługa dobrodzieja! Smarujcie bezemnie!

ALFRED.

A wkładka?

TRYBULAK.

O! to w słabość moją uderzył! Aj, ojcze Kalina! Żal mi was! Ta czy słyszał kto puszczać jakieś głębokie i nierozumiałe myśli na publiczność! Coś popisać, niby delikatnie, z psychologią... Gospodynie! taże pomyślcie ino: scena! Tysiąc gęb gapi się i chce się śmiać! A tu... jakaś fantazyja, ciężka, jak armata! Nie znacie ludzi gołąbku!

ALFRED.

Więc pan nie słuchasz dalej?

TRYBULAK.

Na macie! Ta gadajcie! Ale mądrze! bez rozmazywania!

ALFRED.

Zatem od rzutu, od ręki! Akt pierwszy. Ten młody poeta studjuje w teatrze sztukę, kryteria produkcji dramatycznej. Chce być nowatorem i nowatorstwo swoje pogodzić z wymaganiami tego tysiąca gęb, jak pan to plasty-

cznie powiedziałaś. W domu czeka nań żona, żywa inwidya jego twórczości. Wracą późno. Scena. Tragiczna scena, gdzie mordują jego indywidualność, przydeptując ją obcasami.

TRYBULAK.

Hołobczyku! albo to coś mądrego, albo Trybulak durak!

ALFRED.

To są dwie prawdy, nie kolidujące ze sobą.

TRYBULAK *do siebie.*

Jak tabaka w rogu.

ALFRED.

Słuchaj pan! Porywa się na żonę, która mu chce papiery zniszczyć, wybiega z domu, pisze w nocy, w kawiarni, pisze tenże sam akt pierwszy. Akt drugi. Nazajutrz rano. Po całonocnej nieobecności męża, żona w strachu. Odwiedziny przyjaciela męża. Żona w prośby, lamenty. Przyrowadź pan go! Przyrowadza. Scena tragiczna o poprawnej edycji. Przychodzą jego towarzysze. Jeden — znajomość jego żony z czasów studenckich. Szatan rai: zbliż ich! Ona upadnie. Pluniesz. Będziesz wolny. Czy upadnie? Znak pytania. Przepaść stoi otworem, nęci, mroczy mózg. Tu koniec drugiego.

TRYBULAK.

Coś się tam połapało. Ale.. jak ma być zdrada..

Z świąteczną miną.

...niechże on uda, że.. wyjeżdża.

Wychodzi do drzwi, roztwiera je, wraca wielkimi krokami, z srogością na obliczu.

Nagle.. wraca!.. Na uczynku!.. To frajda! Ojczy! jak was lubię, takeście stracony człowiek! Taże wy,

jakeście mi wczoraj trochę czytali, gadacie na scenie albo za mądrze, albo bez bawelny!... Wobec publiki jest to niegrzeczność! Dla narodu trzeba mieć respekt!

ALFRED.

Aha! Życie, które idzie na scenę, powinno się wystroić, jak kurtyzana do fotografa! Trzeba mu nakazać, aby zrobiło »przyjemną minę«... bo smakosze estetyczni patrzą, bo ludzie lubią nędze, ale przybrane w szych. Światło kinkietów nie świeci łachmanom i niedoli, tylko... marynetkom, przybranym w nie!...

TRYBULAK.

Zaperzony ojcze! papierosa! *Bierze.* Wy dojdziecie albo daleko, albo wysoko. *Pokazuje gościem stryczek.* Powiesi was opinia!

ALFRED.

Przyjdą i po mnie tacy, co będą jeszcze dyndać, aż wreszcie uderzy godzina!...

TRYBULAK.

Co z tego, kiedy my nie będziemy słyszeli! Ale jazda! Co zaśpiewa nam akt trzeci? Gardłujcie sownyku!

ALFRED.

Zaledwie go zacząłem. Zbrodnia kroczy, stacza się lawiną... Młody poeta wie, że nic jej nie wstrzyma. Ale wie, że ta, która będąc cnotliwą, miała władzę ciągnąć go za sobą, przy ziemi, że ta, zakażona duszą, przestanie być dlań wampirem, skoro i ciało jej mętów się nachłepce! Wie, że zdrada ciągnie w swą paszczę, jak wąż, magnetyzujący swem ślepiem. Jakiś od-ruch bólu, który go przecież przejął wobec zbliżającej się klęski, dyktuje mu słowa, któremi niby przestrzega

żonę, choć wie, że to daremne i choć tak właśnie dzieje się wedle woli jego. Oto mówi do niej tak... czekaj pan... *Seuka papjerosów w kieszeni*. Napisałem dziś.

TRYBULAK.

Pewnie znowu prosto z mosta! Przerzynałem z bożem narodzeniem, przerznię i z wami! Trybulaczku niemasz szczęścia, niemasz doli! Będziesz na starość kartofle skrobał, a jakże, w zakładzie »u schyłku zasłużonego żywota«.

ALFRED *rozwinąwszy papiery*.

Tak mówi.. do niej.. do żony... *Czyta*. »Na końcu krętych ścieżek twoich widać etap: wiarołomna! Więc mało ci, że wydzierasz lotki ze skrzydeł, któremi chcę wzbic się ponad okiśłe dogmaty życia... Chciałaś, byśmy się wlekli jak płazy, jak robactwo, w łożyska swoje! jak małże! Więc mało ci, że podcinasz drzewo moich marzeń, że zdrapujesz farby z wizyj mej wyobraźni!... że rozpiekły żar mego słońca przykrywasz swoim rańtuchem i przysyłaniasz dłonią głupoty! Tak! teraz ciśnij tę ponurość, te ciemnie... i na ucziwość mego nazwiska! Zdepc je! Owalaj! Wywlecz na kałużach! Niech się błota napije twe ciało! niech się błotem przeżre moja cześć! niech miazmaty zadławiają mię! Hahaha! *Nabierając oddechu*. Tylem napisał..

TRYBULAK.

Zduril! zduril! Kto tak mówi?! To do książki! Zły duch w was! Bożewilny! bożewilny! *Chwyta w dłoń szcnotkę z komody*. Jaby tu krzyknął: *Rozstania nogi, zadziera głowę, rozdyma nozdrze*. *Staccato*. Na... masz... ty... cudzołożna!... Niech ci będzie zapłatą za moje łyzy, to stalowe ostrze włoskiego sztyletu!

Rozdzierającym głosem, w furii.

Umieraj! Umieraj!!!... i dziugnąłbym popod serce! Ona pada na wznak, trzepie nóżkami niebożatko, a ja kilka kroków tył... zasłaniam oczy, zataczam się.. i odrzucam nóż. *Odrzuca szczołkę.* Co? Tak się robi! Wala brawa — trup na ziemi — a ja kłaniam się w pas. *Kłania się w pas.* Ej! ej! Wy ojcze Kalina jeden z tych nowych! Szkoda was! Jakieś wygłaskane, wyelegantowane słówka!... Huku, puku za talar, roboty za grejcar! Jak sobie pościelicie, tak będziecie nocować! Wpakowaliście jeszcze tego dziada Lubicza! Pożal się Boże z tą mamalygą!...

ALFRED *przypatruje się całej scenie z ogromną uciechą, ściska Trybulaka.*

TRYBULAK.

Na mnie, ojciec, nie róbcie sobie oskomy! Myśli: wsunie pomiędzy sieczkę ziarno owsa i będzie obrok! Kula w płot! Dobrodzieju... Trybulak człowiek kocha was! na honor! Bym się tak odbił! ale Trybulak artysta szanuje swoją markę! A jestem przede wszystkim artystą! Najpierw gram wkładki, aż się łyaska! a potem gram..

ALFRED.

Krótkiego aż do bożego narodzenia!

TRYBULAK.

Dobrodzieju! Ignoracya! Ta to kunsztyk! Trzy króle! Hospodynie! papierosa!

ALFRED.

Mam! mam nową figurę! Faustyn Trybulak, podwójny artysta!

TRYBULAK.

No, to będzie pierwsza wartościowa osoba w całym towarzystwie! Ojciec zaświtało wam, ale róbcie specjalną sztukę.

ALFRED.

Nie! Tylko was specjalnie umieszczę!

TRYBULAK.

A niech ta! To utrzyma cały spektakl! Tymczasem bądźcie zdrowi! Mam schadzkę artystyczną.

ALFRED.

Odbijać się...

TRYBULAK *nadęty.*

Ale Trybulak, ma być Trybulak!

ALFRED.

Tak jest! Faustyn Trybulak!

TRYBULAK *żegnając się.*

No, to gospodynie, na drogę... papierosa!... O trzech królach i papierosach nie piszcie... Ja was niby proszę o cygarko... ale to i tamto, to... tajemnice z życia artysty! Servus ojciec! *Gromkim głosem.* Ale Trybulak ma być Trybulak! *Wychodzi.*

SCENA II.

ALFRED — LUBICZ — KORYCKI.

ALFRED *wyciąga notatnik, chodząc pisze.*

LUBICZ *wchodzi z parasolem, w haweloku, świeży, uśmiechnięty.*

ALFRED *szybko*.

Byli razem? co? Uważałeś dobrze? Czy znowu tam gdzie wczoraj? Gdzie poszli?

LUBICZ.

Uwazas, byli... i wis, jak się ma trosku sprytu, to wszystkiego można się domyślić z tego, jak kto albo kiwa głową, albo macha rękami... Naprawdę! tak studyować, to potem aż jednego piece, pisać nowelki... ja sam...

ALFRED.

No gadajże nareszcie!

LUBICZ.

A to gorącka! Ja sam... tego... odzywa się we mnie jakaś zyłka artystyczna do pisania!

ALFRED.

Mówże!

LUBICZ.

Byli... kawałtka śli razem. On coś dużo rozmawiał, a ona jakby dziękowała... dał jej kwiateczek, potem psystanęli... tak jest!... psystanęli.. ona mówiła do niego coś, jakby była ucieszona, bo kiwała głową o tak.. widzisz... a on na to także jakoś tak zaczął potakiwać, jakby coś obiecywał. Naprawdę! mówię ci, zdaleka na to się patsyc, to choć człowiek nie słyszy, tylko widzi... a psiecie jakby słyszał! Ale do tego, swoją drogą, trzeba mieć oko! Ja jus tak od urodzenia, od malenkości ..

ALFRED.

No... i cóż potem?!

LUBICZ.

Nic. Pozegnali się. On się kłaniał kilka razy cylindrem. Ach! ja sobie muszę taki kupić! Tylko krosy trosecku więcej zagięte. Te nie są arystokratyczne!

ALFRED.

Wyznaczyła mu pewnie miejsce mniej w oczy wpadające, swobodniejsze. Uważa na pozory! Nie szedłeś za nią? Nie zauważyłeś nic więcej?

LUBICZ.

Nie sedłem. Proszę ciebie, człowiekowi dość popastryć raz a dobrze! i wi, co w trawie pachnie! Ale widziałem, jak on na rogu stanął i obrócił się.

ALFRED.

A ona?

LUBICZ.

Nie, nie. To nie.

ALFRED.

Motyw podwójny. Obawa, że ktoś trzeci mógłby to zaobserwować a potem...

LUBICZ.

Ohoho! Mnie nie widziała! Schowałem się koło fiaków i przykucnąłem.

Przygląda się z boku sfinksowi.

No... ale psocię chciałbym wiedzieć, co to ma przedstawiać! Takie piersi, ach! a popatrzeć dalej!... brrr! Z psodu... ślicna kobita... z tyłu... niedobrze się robi!

ALFRED.

A widzisz, to znaczy, że jak patrzysz na swoją Zosię, taką nabitą w sobie i dobrą, to wiedz, że pod

piękną sukienką, pod łakomą dla ciebie pokrywką, jest taka masa drapieżnego cielska!...

LUBICZ.

Ta fe!... Ale jus jabym chciał zobaczyć!

ALFRED.

Ale, gdy cię uściśnie, pocałuje, to cię zmrozi, zadusi!

LUBICZ.

Nono! pilnuj swego koło nosa! Ona taka... jak czekoladka!... A jak koło niej stać blisko, to ciepło as bije do głowy... Ach!... *Przeciera czoło.* As bucha!

ALFRED.

Przepraszam! Odwołuję! Nie zadławi, bo obliczy się, że z ciebie nieda się nie wycisnąć.

LUBICZ.

A cos ona ma ze mnie wyciskać?... Ty pses swojom Albinę, to widzisz wszystko, jak... w atramencie! Nie zduzys mnie! nie!

ALFRED.

Mój drogi... póki jeszcze czas! Zrób mi tę przysługę i skocz do ogrodu zoologicznego. Prosiłem ją, by się tam z dzieckiem przeszła. Dość zacisznie w nim! Zachęcająco!

LUBICZ *krzywi się.*

Ale chyba ostatni raz! Ja robię to tylko dla ciebie! Nie lubię łązić w cudzą kukurudzę! Niunek tu! Niunek tam! Proszę ciebie, ja mam sam tyle interesów, jak jaki adwokat

Silne pukanie.

ALFRED.

Prosimy!

KORYCKI *wchodzi piany — intonuje nosowo.*

Aa!... dzień dobry! Z czem do gościa?...

LUBICZ.

Przedwczoraj wziął pensję..

ALFRED.

Po dłuższej nieobecności... witamy!

KORYCKI.

Aa... dłuższa nieobecność!... Dłuższa... niby... tyndyryndy...

Uśmiecha się, zwiesza głowę.

LUBICZ

Jak już gada tyndyryndy, to dobrze! Czekaście! ja tu zaraz przyjdę! Cos on myśli, że ja ekspres?

Wychodzi.

SCENA III.

ALFRED — KORYCKI — SŁUŻĄCA.

ALFRED.

Siadaj! rozgość się! Masz jakie świeże wrażenia? co?

KORYCKI.

Pozwolisz, Fredziu, in medias res. Tak... między nami, panienkami...

ALFRED.

Byłeś w kawiarni... u swojej Brońci?...

KORYCKI.

Aa... *Myśli, uśmiecha się.* Byłem. Biedna dziewczyna.

Pod nosem.

Astarte! Astarte!... lubię... lubię!

Zwiesza głowę.

ALFRED.

Bajronizm, czy bajroniczność...

KORYCKI *z żywością.*

Znasz ty Heinego »wspomnienie«?... lubię, lubię.

ALFRED.

Ślepcze! co za typ! *Do siebie.*

KORYCKI

poprawiając cwikier, wygłasza trochę nosowo, z chwilami zapалу, to znów z wysiłkiem nad przypomnieniem sobie.

Wiesz... porzucił ją! *Energicznie.* Porzucił! Potem w kilka lat nagle, staje mu to w pamięci! Posłuchaj!

Rozstawia niezgrabnie nogi.

Już wygasł dawny szal! Lecz nad mą duszą,

Jak widmo blade ciągle krążysz ty —

Gdzie błędzisz teraz? *Poprawia akcent.*

Gdzie błędzisz teraz? Zimną, leśną głąszą?...

Rzuciłem cię na nędze, rozpacz, lzy...

Zwiesza głowę, podnosi ją i uśmiecha się.

Co?... tyndyryndy...

ALFRED.

Jak widzę, Brońcia to jakiś konglomerat! Bajron, Heine...

KORYCKI *machinalnie*.

Konglomerat... Ale, ale... wiesz... widziałem twoją panią. Szła do miejskiego ogrodu.

ALFRED.

Do miejskiego! do miejskiego! To jasne!

KORYCKI.

Co piszesz teraz? Chcę ci dać temat do jednego figla! Ale traktuj po heinowsku! O! to pan! To możny pan! Miał dwie pasye: do rewolucyi francuskiej i do kobiet... lubię, lubię.

ALFRED.

Widziałeś dobrze? Albina szła do miejskiego... sama?

KORYCKI.

Aha! Henio dreptał koło niej. *Spostrzega sfinksa*.
Lubię! Lubię!

ALFRED.

Kupiłem dziś rano za pół darmo.

KORYCKI *z animuszem*.

Stuck! Stuck! Pyszne! Sfinks wypija mu duszę przez usta! Co za siła w uścisku! Szpony utopione w... szczęśliwym nieszczęśliwcu!

ALFRED *porywczo*.

Wojujemy tem pojęciem »szczęście«! Co to jest? Leniństwo, obślinione wylewem egoizmu. Tak zwane

»szczęście« stoi w odwrotnym stosunku do inteligencji osobnika! »Szczęście« jest dla idiotów!

KORYCKI.

A ja ci powiem... tak... między nami, panienkami... szczęście, to jest mądry figiel, aby było za czem... uganiać się w życiu!...

ALFRED.

Raczej pragnienie, aby dopędziwszy czegoś, można stanąć!! A potem, wisi się między niebem a ziemią. Wolę piekło ruchu, płodne w pożądania, wolę, niż błękit nieba, senny, bez pragnień, gdzie płynie bezwolność, zadowolenie, sytość!...

KORYCKI.

Zadowolenie, sytość! Krzyknij: dwa wódki! dwa wódki! Co?

ALFRED.

A dobrze! *Wychodzi do kuchni.*

KORYCKI

wyjmuje z kieszeni kamizelki pogiętego papierosa, zapala, staje pod sfinksem.

...Tyndyryndy!

ALFRED *wchodząc.*

Zaraz będzie! A wiesz... ten sfinks jest dla mnie podwójnym sfinksem! Dlaczego Stuck tak go pojmuje! Ja — bo przedstawiając kobietę sfinksa — narysowałbym pęknięty pęcherz... wokół niego zaś gapiącą się czeredę tych, co tę wewnętrzną próżnię mieszka zaludniali własnymi duszami i żarli się... Haha!

KORYCKI *przenikliwie.*

Mówię ci po raz niewiem który, tyś się nie powinien był żenić!

ALFRED *gorączkowo, nagle.*

Wiem! wiem! Ale słuchaj! Czy ja szukając u Albinę serca! serca!! serca!!! żądam za dużo! Jeżeli ona uważa za kalectwo moją umysłowość, sięgającą po za jej horyzont, niechże będzie wobec niej jako szarytka, względna, łagodna, szanująca!! Bo, gdy wymiata moje uniesienia miotłą! stąd! precz!! nie uważając, że się wiję i kurczę!... niechże ją szatan bierze całą!!!

Długa pauza.

KORYCKI.

Zapal papierosa!

ALFRED *bezbarwnie.*

A... dobrze. *Zapalając.*

Pauza.

KORYCKI.

Jakże z twoim dramatem?

ALFRED.

Nie widzisz jak strzela w górę? A prawda! tobie nie czytałem! Zrozumiesz mnie zresztą i bez tego. Wiesz... jest we mnie dwu ludzi!... działacz i krytyk... Obaj chcą być równie silni... i to straszne!...

KORYCKI.

To anormalność! groźna anormalność!... Dwoistość taką tłumaczy nauka.. zresztą każdy człowieczyzna

jest dwojaki... tyndyryndy... tylko do pewnej miary! Bo... Zwykły pożeracz chleba... dwoistym jest tylko co do nóg, rąk, oczu, uszu... Ma tego po parze... ale... taki jakiś wyższy figlarz, co głową... nakłada, ten na mózgu jest... tyndyryndy... rozdwojony... U niego, te dwie symetryczne połowy mózgu, działające zbieżnie i rozbieżnie, a wywołujące zresztą jedno tylko wyobrażenie — u niego dają dwa obrazki... I te obrazki figlują ze sobą...

ALFRED.

Zatem koordynacja anormalna!... haha!...

Pukanie.

SCENA IV.

CI — WISIA — SŁUŻĄCA.

ALFRED.

Proszę!

WISIA *wchodzi, cofa się.*

Nie zastałam służącej w kuchni! Niema Albinki?

ALFRED.

Ależ proszę; proszę zająć miejsce! Czemu mam zawdzięczać pamięć? Pani pozwoli... pan Antoni Korycki.

KORYCKI *kłania się poprawiając cwikier, opuszcza go na ziemię, klęka i szuka całą dłoń.*

WISIA.

Albinka wyszła?

ALFRED.

Tak. O co pani chodzi? Oznajmię jej.

WISIA.

Powiedz pan jej, że ta posada w nowej administracyi, o którą staramy się dla niej z Tomaszkiem, prawie pewna!

ALFRED.

Co? gdzie? Nie rozumiem!

WISIA.

W administracyi nowego dziennika. Tomaszek zrobi, co ja chcę.

ALFRED.

A wiemy! wiemy! Ale dlaczegoż ja o tem nic nie wiem!

WISIA.

Bo pan wogóle nie wiesz, co do pana należy!

ALFRED.

Teraz proszę mnie uderzyć w brzuch, a filozofja napłynie mi do głowy, jak u pana profesora.

WISIA.

A to co?! Jak pan śmiesz! Zamknij pan dziób!

ALFRED.

Proszę panią o szczyptę uprzejmości. Węzeł familijny pozwoli mi na wzajemną otwartość! Od takiej wzajemnej otwartości powinno nawet zacząć się t. z. równouprawnienie płci!

WISIA.

Teraz wyobrażam sobie... że... Albina to nieszczęśliwa ofiara!

ALFRED.

Ona jest sama dla siebie nieszczęśliwą, bo nie rozumie biologii innej duszy, niż własna! Kłuje mnie, siebie, cały świat! Jest jak »skorpion«, własnym opasany żarem. Ale ma jeszcze tę mimowolną zaletę, że jest figurą dla mego dramatu.

WISIA.

Pan tej manii pisania nie myśli porzucić?

ALFRED.

Jeszcze i pani wystawiłbym rad pomnik w galerii typów.

WISIA.

Pisz pan w kominie!

SŁUŻĄCA wchodzi z zastawą. Układa, wychodzi.

ALFRED.

Przypominam pani równouprawnienie!

WISIA widząc flaszkę piva i wódkę.

No... to ja tu niemam już co robić!

ALFRED.

Zdaje się!

WISIA.

Arogant! Przyjdzie kryska na Matyska! Jak Tomaszek z panem porządku nie zrobi, będzie koniec świata!

Wychodzi.

KORYCKI *do wychodzącej.*

Z czem do gościa?

WISIA *odtrąca go.*

KORYCKI.

Lubię, lubię! *Do Alfreda.* Przepraszam cię Fredziu, ale ja.. tej kobiety... nie tego... tyndyryndy, co?

ALFRED.

Masz rację! Najlepsze określenie »tyndyryndy«...
Zabierają się do zastawy.

KORYCKI.

Ta definicya mówi rozlegle!

Pauza.

ALFRED.

Korycki... niewiesz, kto stanowi skład nowej redakcyi?

KORYCKI.

Kilku z naszej grupki. Cegielski, Wołęcki, Niedzielski.

SCENA V.

ALFRED — KORYCKI — LUBICZ.

LUBICZ *wchodzi.*

ALFRED *mimowoli.*

Nie była?!!!

LUBICZ *do Koryckiego.* A!... lubię! lubię! *Nasładowując go.*

KORYCKI.

Z czem do gościa?

LUBICZ.

Dajcie co przekąsić, popić!

KORYCKI.

Panie... tyndyryndy... Jakżeż tam Zosiny barometr?

LUBICZ *zły*.

Jak... między nami panienkami! Wi pan!!

KORYCKI.

Figle! figle!

ALFRED *chwyta Lubicza za ramię, pyta go oczyma.*

LUBICZ *przeczy energicznie głowę — je.*

KORYCKI *do Alfreda.*

Ale, ale! Chcę ci dać temat do figla! Po heinowsku!
Skupia się -- zwiesza głowę.

ALFRED *do Lubicza.*

Nie była?

LUBICZ.

Ta jak nie była, to ja jej tam na rękach nie psy-
niozę!

*Zły, bierze szklankę i flaszkę piwa, idzie ku komodzie.
Po drodze.*

Była?!... nie była?!...

KORYCKI *do Alfreda.*

Młodzieniec, uważasz młodzieniec! elegancki, szy-
kowny, naperfumowany, odprowadza codziennie pa-
nienkę. No! odprowadza panienkę do domu. Ta pa-
nienka...

LUBICZ *podchodzi zaciekawiony, uśmiechnięty.*

KORYCKI.

...dodajmy, śliczna, nabita w sobie...

LUBICZ *poważnieje.*

KORYCKI.

...powiada mu, że dalej jak do bramy, do bramy! nie wolno! A młodzieniec szykowny i grzeczny... myśli: nie wolno, no... to nie wolno! Panienska przyzwolita... cnota... tyndyryndy!... Młodzian kochał cnotę i zezował tajemnie za posażkiem, o którym ona wstydliwie wspominała... lubię! lubię!...

LUBICZ *z pozorną niedbałością podkręca wąsa.*

KORYCKI.

Raz po obiedzie miał do niej interes! Dodać trzeba, że młodzieniaszek był zawsze w interesach... tyndyryndy...

LUBICZ *porusza się niespokojnie.*

Więcej tego tyndyryndy, jak opowiadania! Albo wystękać się pan, albo... kaduk!...

KORYCKI *swobodnie.*

To tylko temat dla Fredzia! Owóż tedy... figlarz ten, szuka jej w tej kamienicy, pod którą ją zawsze późnym wieczorem, tyndy... z tęsknością odprowadzał... ryndy... Woła stróża... pakuje mu w łapę szustaka i pyta: »Nie mieska tu taka, panienska... śliczna, nabita w sobie« i... tyndyryndy...

LUBICZ *wierci się, jak na węglach.*

ALFRED.

Skończ, bo Niunka zaciekawileś...

LUBICZ.

Także coś! Tylko cedzi tak, że jednego może bzuch rozboleć.

KORYCKI.

Zaraz kończę.

ALFRED.

Macte! macte!

KORYCKI.

Stróż wziął szustaka, machnął ręką... tyndy... jak wiatrakiem... ryndy, splunął i rzekł: Aha!... to ta niby... co zachodzi do swego »niby narzyczunegu«... a ten drugi... niedorajda... ją jeszcze doprowadza!...

LUBICZ *wstaje, chodzi prędko po pokoju.*

KORYCKI

Nazwijmy bohaterkę Zosią... doprowadzającego szarmana Józefem... lub z pieśczoły... tyndyryndy... Niunkiem!...

LUBICZ.

przyskakuje do niego. Grozi długo palcem, wreszcie przychodzi do słowa.

Paanie Korycki!! Paaanie Korycki!!! Wyrazaj się pan z dokładnością! Wi pan!

KORYCKI.

Lubię, lubię! Zatem rzecz dzieje się przy ulicy, gdzie jest kawiarnia pod egipską mumią...

LUBICZ *wściekły.*

Pod mumiom! pod mumiom! pod mumiom!

ALFRED *do Lubicza.*

Napij się piwa! prędko!

LUBICZ.

Pod mumiom! To ona tam mieska! Paanie! ja się zaraz połapał! Zosia tam mieska! *Groźnie*. Ale jak pan kłamiesz, to będzie z panem nieszczęście! Wi pan! Jestem szlachcic z dziada pradziada!

KORYCKI *machnął niedbale ręką*.

ALFRED.

Napij się piwa! prędko! I pocałuj Koryckiego w rękę!

LUBICZ.

Cysty dom waryatów! *Fistulką*. Do Koryckieyo. Pan pił do mnie! Ocernia bidną istotę!

ALFRED.

Biedna... bo bez posagu!

LUBICZ *spadając z tonu*. Skąd wis? Do Koryckiego. Daj pan słowo honoru, że to nieprawda co pan o niej...

ALFRED.

Pocałuj go w rękę! Widzisz: Zosieczka oszukiwała cię... odprowadzałeś ją... a ona... do innego...

Do ucha Lubicza.

LUBICZ.

Kanalja! *Biega po pokoju*. Roztsęse na kawałeczki! Do Koryckiego. No, to daj pan teraz słowo, że to wszystko prawda!...

KORYCKI.

Oto moja ręka... O! o!...

LUBICZ *krzywi się — wybucha płaczem.*

A to selma! psia jucha! Selma baba! Zeby choć jaki posag był! Patsyłbym pses palce! Dziś świat postępowy! Ale tak pożądnego chłopca za nos wodzić! Na to tseba arcylucypera! ...To wszystkie takie!

ALFRED *śmieje się.*

LUBICZ.

Ty się nie śmiej! Ja ciebie chciałem oszczędzić, bo mam miętkie serce, ale źle zrobiłem! Mówiłem ci, że Albinka się nie obracała. Obracała! obracała! obracała! kilka razy! kilkanaście razy! Koło miejskiego to mi nawet mignęło, ze śli razem... *Biegnie przed obraz sfinksa* Wim! wim! Teraz dopiero wim! Jutro! zaraz jutro! za ostatni cent kupię sobie taki nad łóżko! Za ostatni cent! Kazda kobita... to taka... bestya!... z psodu niby gustowna! nabita w sobie!... a psyjdzie co do czego, to się niedobrze robi!...

ALFRED, KORYCKI *śmieją się na cały głos.*

LUBICZ.

Dawajcie piwa! Pij piwo! pij! piwo! Tsa być jus raz mężczyzną... na całej linii!

Słychać aryston z podwórza.

LUBICZ.

»Sumiom jodły na gór scygie
Sumiom sobie w dal«...

Urywa — popłakuje.

KORYCKI *do Alfreda.*

Fredku, pożyczmy od tego tyndyryndy... aryston! Co?... będzie wesoło!

ALFRED *mimochodem.*

Aa! dobrze!

KORYCKI *wychodzi.*

LUBICZ.

A niech jom kacka kopnie! Skoda... skoda! taka... nabita w sobie...

SCENA VI.

ALFRED — LUBICZ.

ALFRED.

Szli razem do miejskiego?

LUBICZ.

Szli! Widziałem dobrze! Nie jestem ślepy! On dał jej kwiatek, śmiali się i posli do altanki, tam na górze.

ALFRED.

Uważaj Niunek, byś się teraz nie dał unieść wstrętowi, jaki uczułeś do kobiet! Mów prawdę!

LUBICZ.

Proszę ciebie! psynajmniej ty mnie nie obrazaj!

ALFRED.

Sieci płaczą się. Zbrodnia wikła się sama.

LUBICZ *pijąc.*

Napij się piwa... smacne i zdrowe; człowiek powinien więcej na siebie uważać! Piwo jest bardzo pożywne, bo robią go z tego... z tego... bardzo pożywne! i tłuste!

SCENA VII.

ALFRED — LUBICZ — KORYCKI — NIEDZIELSKI.

KORYCKI *wchodząc.*

Nie chciał pożyczyć. Powiada, że mu popsują tyn-
dyryndy. To także jeden z tych... matadorów, co sami
chęcą robić muzykę w świecie!

LUBICZ *złośliwie.*

Cos tam koło pana nowego?

KORYCKI.

Z czem do gościa?

LUBICZ *pewnie.*

Sanse dobiegają do końca!

KORYCKI.

Co za szanse?

LUBICZ *pokazuje ręką pieniądze.*

KORYCKI.

Wybiegły już poza... koniec!

ALFRED *pogrążony w myśli.*

To ciekawe...

KORYCKI.

Żyję nawet cały miesiąc naprzód...

LUBICZ.

Jakto?



KORYCKI.

Pensya! Jeżeli umrę, to zawsze miesiąc naprzód!

LUBICZ.

I w biurze nie mogą panu wypowiedzieć, skoda im jednego miesiąca! A długi popłacił pan wszystkie?

KORYCKI.

Tyndyryndy...

NIEDZIELSKI *wchodzi.*

Dzień dobry panom! paaa! paaaaa!

ALFRED *nie może utaić zdziwienia.*

KORYCKI.

Nowej redakcyi... tyndyryndy...

NIEDZIELSKI.

Wpadam na chwilkę! Po co? Zapytać się pana Kaliny, czy nie przyjąłby jednego działu w nowym składzie? Przyjmie! przyjmie! Czy rachowaliśmy na to? Wszyscy — począwszy od naczelnego aż do mojej niekzemnej osóbkki. *Kłania się.*

ALFRED *gest gniewny.*

NIEDZIELSKI.

A pański rozgłos! Zbiorek nowel zrobił swoje! Może pan łaskawy stawiać warunki i waruneczki. Jaki długi czas do dezycyi? Dwa dni! dwa dni! Dla pani dobrodziejki pozwalam sobie złożyć ten kwiatuшек. *Kładzie gwoździki na stole.*

ALFRED.

Aaaa?... Proszę się rozgościć!

NIEDZIELSKI *w strasznej rozpaczycy i lansadach.*
Czasu! czasu!! czasu!!! nie mam... Lecę! latam!
płynę!!! rozplywam się!!!

ALFRED.

Czy przyjmujecie do administracyi kandydatki?

NIEDZIELSKI.

Jestem za tem, by kobiet wogóle nie przyjmować,
chyba jedną panią do administracyi, a do kantoru
jakiś buziaczek na wabika.

LUBICZ.

Nie psymować! nie psymować! Jus wsędzie się
to psiarstwo pcha!!

SCENA VIII.

CIŻ — ALBINA.

ALBINA *wchodząc, w drewniach.*

Rozbierz Henia i zgotuj mu jajo na mięko.

NIEDZ., LUB. i KOR.

Całujemy rączki!

ALBINA *wita się.*

Cóż to pan, panie Korycki tak dziś poważnie wy-
gląda?

KORYCKI

który od chwili patrzył na nią z upodobaniem.
Figielki! lubię! lubię!

ALFRED *do Koryckiego.*

Ale à propos poprzedniego figła, którego opowieścią uzdrowiłeś tu przed chwilą jedną duszę... chciałbym się zapytać...

IUBICZ.

Pewnie znowu o tym Niunku... Proszę was, nie miejcie mnie za Helkę Pentelkę...

NIEDZIELSKI

który rozmawiał z Albiną, podaje jej książkę.

Najpokorniej prosi o przyjęcie lektury. Kto? Moja małość!

ALBINA.

Dziękuję za pamięć.

NIEDZIELSKI *podaje książkę, pokazuje list tamże zawarty.*

ALFRED.

Widziałem!

ALBINA.

O! dziękuję!

NIEDZIELSKI.

Muszę państwa pożegnać. *Patrzy na zegarek.* Późno!

KORYCKI.

Która?

NIEDZIELSKI.

Która? Późna! Strasznie późna! Najpóźniejsza!

KORYCKI.

O! może czas... do biura! Ale co powie czerwona kawiarenka, co przecina drogę... ani tyndy!... ani tyndyryndy! Bo nie da się ani wy — ani ominąć!

Wychodzi.

ALBINA

*idzie bezpośrednio po wyjściu Niedzielskiego do kuchni.
Zabiera ze sobą książkę, w drzwiach.*

Henio je?... Wychodzi.

SCENA IX.

ALFRED — LUBICZ — SŁUŻĄCA — ALBINA.

ALFRED.

Wychodzi za nim?... Ile tu było innych niezręcznych wolt! List wręczył jej ukradkiem! Wzięła go razem z książką. Tam zamieni z nim tajemne szepty! Nic nie słyhać! Może wybiegła na korytarz! Rozmawia z nim w sieni? *Otwiera szybko drzwi.* Proszę pozabierać puste flaszki — zrobić porządek! *Wychodzi.*

SŁUŻĄCA *wchodzi z tacą.*

LUBICZ

przypatruje się jej, uśmiechając się.

Panienska... taka zarumieniona... od kuchni?

SŁUŻĄCA.

A niby...

LUBICZ.

Ciekawość, czy taka co warta... Czy panienska ma narzeczonego?

SŁUŻĄCA.

Co pan taki ciekaw?

LUBICZ.

Pewnie się już ktoś złakomił na ten buracek!

Głaska ją po twarzy.

SŁUŻĄCA *uchyla się.*

Buracek!... *Naśladuje Lubicza.* A pan gdzie zęby zjadł?... Moze na burackach?...

LUBICZ.

Taka czy siaka... huncwot i selma!

SŁUŻĄCA.

Kiepskie czasy...

ALFRED *wbiega wzburzony, do służącej.*

Zabieraj to precz!

SŁUŻĄCA.

Zaraz proszę pana! *Wychodzi.*

ALFRED.

Widziałem przez dziurkę od klucza. Mówiła do niego ożywiona... koło schodów za framugą stał Deretkiewicz... niezauważony... Słuchał i uśmiechał się... Śmieście się! śmieście! Ależ ja tego pragnę! Ja do tego dyszę!! Ściany mego więzienia rysują się! trzeszczą! Słowo »podła«, które cisnę jej w oczy... plugawa na duszy i brudna ciałem!!! To słowo otworzy mi wolność! potęgę!

LUBICZ.

Wis ty co? ja mam wielki gust wynieść się...

ALFRED.

Tą swoją cnotą lazła mi do ocz, do duszy, jak gąsienica, kosmata, szpetna!...

LUBICZ.

Ja mam wielki gust zabrać się.

ALFRED.

Wielka scena mego dramatu idzie niewstrzymana!

ALBINA *wchodzi zadowolona.*

Pauza.

ALFRED.

Proszę! no proszę! Co znaczyła ta rozmowa na kurytarzu? ten liścik?

ALBINA *uśmiecha się.*

Zgadnij!

ALFRED.

Tu niema zagadek! niema zagadek! *Z siłą.* Na końcu krętych ścieżek twoich widać etap: wiarołomna! Więc mało ci, że wydzierasz lotki ze skrzydeł, któremi chcę się wzbić ponad okisłe dogmaty życia! Chciałaś, byśmy się wlekli jak płazy, jak robactwo... w łóżyska swoje... jak małże!... Więc mało ci, że podcinasz drzewo moich marzeń, że zdrapujesz farby z wizyj mej wyobraźni, że rozpiekły żar mego słońca przykrywasz swoim rańtuchem i przysyłasz dłonią głupoty! Tak! teraz ciśniej tę ponurość, te ciemnie... i na uczciwość mego nazwiska! Zdepc je! owalaj! wywlec z po kałużach! Niech się błota napije twe ciało! Niech się błotem przeżre moja cześć! niech miazmaty zadławiają mię! Haha!

Cisnie w rękę papier, na którym pisał tę scenę.

ALBINA.

A widzisz panie, że znalazł się taki, który się spłoszył, który potrafi ubóstwiać, modlić się! A widzisz! Na klęczkach modlić się, jak do obrazu! Teraz uwalniam cię, pisz! szalej za aktorkami! Idźmy każde w swoją drogę!

ALFRED *w wściekłym zadowoleniu.*

Ach!! tyś już w bagnisku po szyję! Rdza zdrowych chuci zjadła ci już ciało! Precz!!

Potężnie.

Precz!!! Podła! Podła!!!

ALBINA.

Haha! Idę! Czekają mnie gotowe, spragnione objęcia! A widzisz! a widzisz! Nie spłoszył się!

ALFRED *w najwyższym uniesieniu.*

Ruszaj!!! Nie zarażaj mi dłużej domu swym oddechem! Gdzie zioniesz, zapala się bezwstyd, zbrodnia, upadek! Ruszaj mi z oczu! Nędznica!! Ulicznica!!! Nie tknij się więcej mego dziecka!

Roztwiera drzwi przed nią.

ALBINA *prędko, dyszkantem.*

Waryat! waryat! waryat! waryat! waryat! Czekaj! czekaj! Zaraz cię zimna woda ochłodzi!

Wybiega do kuchni.

LUBICZ.

Mas kabałę! Wszystkie selmy! dziabelskie nasienie!..

ALBINA *wbiega z garnkiem wody i zamierza się na Alfreda.*

LUBICZ *chwyta ją za rękę.*

Eee! tego jus za dużo! Sewska pasya bierze cłeka!

ALBINA.

Czego? ty idyoto! Zabieraj się stąd! ośle!

Odstawia garnuszek.

Ty pijaku!

LUBICZ.

Aa! przepraszam! Ja tu koło Fredka zostanę! On może psy takiej jędzy naprawdę zwaryować!

ALBINA *do Alfreda.*

Ta ty człowieku masz bzika! Wszystko w twojej głowie chodzi jak w młynie! Wyimaginował sobie, że musi być sławny, że musi napisać jakiś dramat! i tu mi będzie hece stroić! Konewką cię zleję!

LUBICZ.

Ja idę na inspekcję! po policyę!

ALBINA.

Ej! błaznie! bo nabierzesz!

Do Alfreda.

Zdaje mu się, że tu wszystko tak jak w teatrze! Zdaje mu się, że jak do tej nory przyniesie jakiegoś bohoma na ścianę, to już będzie znać artystę! Zdaje mu się czarci wiedzą co! a tu niedostatek, że człowiek niewie czego by się chwycić! kiedy głodny literat nie może sobie dać rady, trzeba żonie iść w służbę. Przez Tomaszka chcę dostać się do nowej administracji. Może wtedy, jak pani Kalinowa zasiądzie za ladą, to pan mąż opamięta się! Bestya!... mógłby czem być, a fantazyja unosi go... którądyś! On sam nie wie, czy żyje, czy to wszystko tak mu się zdaje!

LUBICZ *przez okno.*

Panie! Paanie Deretkiewicz! panie Deretkiewicz.

Do Albiny.

On coś wi! On coś słyszał! psed chwilecką!

ALBINA.

Czego trutniu mieszasz się, gdzie niepotrzeba!

ALFRED,

który stał zupełnie ogłuszony, apatyczny.

Prawda! Niech przyjdzie!

ALBINA *do Alfreda.*

Ty szaleńcze! Rób co chcesz! Pamiętaj, że chociaż Deretkiewicz ma złość na mnie...

ALFRED.

Zabezpieczasz się... haha!... animus iniurandi!

SCENA X.

CIŻ — DERETKIEWICZ.

DERETKIEWICZ.

Dobre południe!

Do Alfreda.

Pan sobie życzy?

ALBINA.

Panie Deretkiewicz, pan przypadkiem mógł słyszeć, o czem ja z tym panem rozmawiałam...

DERETKIEWICZ.

Ta słyszałem!

LUBICZ.

Ino pan nie farbuj! Gadaj jak było!

ALFRED.

Bo to proszę pana... bagatela... założyliśmy się, że ja wiem, o czym mówili..

DERETKIEWICZ.

Pani zawołała za tym panem, zaczekaj...

Zacina się.

ALBINA.

Tak! Zacukaj się pan na dwie godziny! to będzie najlepiej!

LUBICZ.

Kaduk!...

ALFRED.

Zaczekaj... na »ty«... to zrodził występek...

DERETKIEWICZ.

Zawołała »zaczekaj pan«. Kiedy mogę — pyta — posadę objąć?« I czy może prosić jakiegoś dyrektora o zaliczkę... Potem mówi, nie noś pan kwiatów. Ludzie są źli! Gotowi co mówić! Tyla! Daj Boże zdrowie!

ALFRED *bezsilnie.*

Dziękuję!

DERETKIEWICZ.

Może jeszcze co? Nic?

ALBINA.

Dosyć! dosyć!

LUBICZ.

Eeee! idź pan do dziabła!...

DERETKIEWICZ.

A patrzaj!

ALBINA.

Idź pan! idź pan!

DERETKIEWICZ *wychodzi.*

SCENA XI.

ALFRED — ALBINA — LUBICZ.

ALBINA.

Tu masz list, w którym mi redaktor przyrzeka miejsce... *Rzuca list.* A za to, żeś tu obcego człowieka pozwolił wpuścić, aby się o żonie przekonać, tegoś wart! *Pluje przed niego.* Nie mamy co gadać! Waryat! waryat! *Wychodzi.*

LUBICZ.

Cos ty na to?

ALFRED

rozgląda się, jakby zdając sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Więc to mi się wszystko, wszystko wydaje?! *Ociera skroń.* Tak... jakby deszcz mżył, szary deszcz... wieczny deszcz!... W tej szarudze życia stanął mój dramat... i brodzi i brodzić będzie!... *Po chwili, w strasznym wybuchu niepohamowanej rozpacz.* By upaść, niema siły, by wznieść się — skrzydeł jej brak! Ach! Dramat mego życia bez końca!!! bez końca!!!...

SCENA XII.

ALFRED — LUBICZ — TRYBULAK.

TRYBULAK.

Aa! Ojciez Lubicz, jak tam zdrowie?

Do Alfreda.

Słuchajcie dobrodzieju! Partyjka odroczone! Poobiedzie zaliczki. Odże wieczór forsa! Tymczasem przerobilem sobie dumkę o tem, coście mi opowiadali! Hospodynie papierosa! Takem wydumał dwa zakończenia dla waszego spektaklu. Dumać się musi, bo to duszewna potrzeba! Ej... ojciec... zasumowany wy!

LUBICZ.

Mas pan gadać, gadaj, a nie piłuj jednego!

TRYBULAK.

Rozserdył sia! rozserdył sia! *Do Alfreda.* Oto... Jakby się miało smutnie zakończyć, to para turkawczek, żona i kochanek... lubczyku! nie sumujcie! — ouha!... odże wyjeżdżają i utracieni odbierają sobie życie! Haha!... Albo ma być wesołe: to ten mąż ucieknie z aktoreczką — a ta żona zostaje w mieście... i dostaje przez protekcyę trafikę!...

ALFRED.

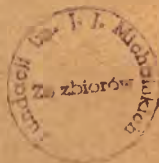
A cóż się stanie... z dzieckiem?

TRYBULAK.

Dobrodzieju! Hospodynie! Na co nam dziecka? Poco nam detyny?! Te dramaty z dziećmi nigdy się nie udają!!!

ZASŁONA.

KONIEC.



INSTYTUT
LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. św. S i i N 11

00-100 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 12

<http://rcin.org.pl>

NAKLADY KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

Biblioteka utworów dramatycznych.



	Rs.	k.
Tom I. BJÖRN SON Björnstjerne: Laboremus . Tłumaczył Dr. Alfred Wysocki	—	50
» II. HEJERMANN S Herman: Nadzieja . Tłumaczył Jan Kasprowicz	—	80
» III. EURYPIDES : Cyklop . Tłumaczył J. Kasprowicz. —	25	
» IV. GRILLPARZER Franciszek: Biada kłamcy . Tłumaczył Jan Kasprowicz	—	80
» V. MAETERLINCK Maurycy: Intruz . Tłumaczył Zygmunt Bytkowski	—	30
» VI. IBSEN Henryk: Rycerze północy . Tłumaczył Dr. Alfred Wysocki	—	60
» VII. MARIVAU X: Igraszki trafu i miłości . Tłumaczył Zygmunt Sarnecki	—	60
» VIII. D'ANNUNZIO : Sny pór roku . Tłumaczył Marion. —	60	
» IX. MAETERLINCK Maurycy: Ślepcy . Tłumaczył Zygmunt Bytkowski.	—	30
» X. BRACCO Robert: Pietro Caruso . Tłumaczył Jan Kasprowicz.	—	30
» XI. KAWECKI Zygmunt: Dramat Kaliny . 3 akty z prozy życia; z sześcioma ilustracjami	—	90
» XII. MAETERLINCK Maurycy: Monna Vanna . Tłumaczył Zygmunt Sarnecki.	—	60

Skład główny w księgarni pod firmą:

E. Wende & Ska w Warszawie.

F
1401